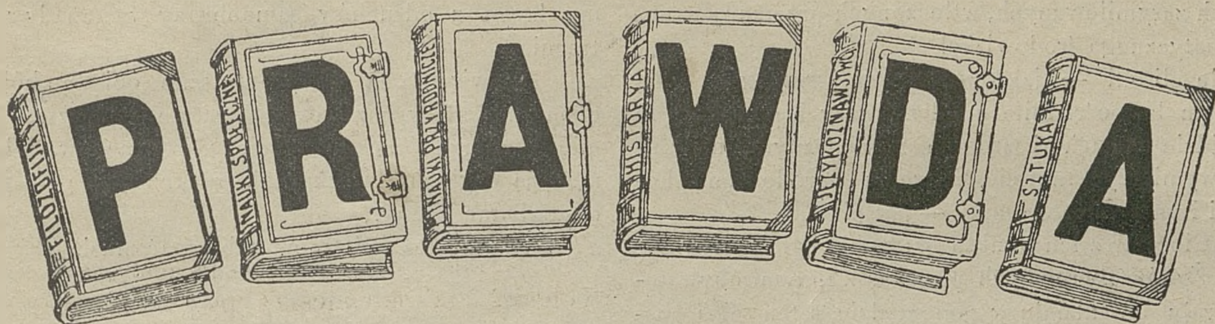
**Nr. 47** (1505). Warszawa, 20 listopada 1909 r. **Rok XXIX.**




TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

# POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

## Obrońcy Ghetta.

Polacy zasiadający w komisji do spraw gospodarki miejscowej oświadczyli się przeciw tworzeniu kurji narodowościowych w samorządzie, za równouprawnieniem wyborców bez różnicy narodowości i wyznania, wreszcie—gdy ta opozycja skutku nie odniosła—za unormowaniem procentu Żydów w radach miejskich proporcjonalnie do ich liczebności w Królestwie Polskim, t. j. na 14 proc.

Zdawaćby się więc mogło, że w tym wypadku zajęli dość poprawne stanowisko — i że żydowska ludność naszego kraju żadnych im zarzutów stawiać nie może.

Część rosyjskich członków tejże rady dążyła do zupełnego pozbawienia Żydów biernego prawa wyborczego, a gdy to okazało się niemożliwym, do utworzenia kurji żydowskiej, do której postanowiono zaliczyć i neofitów.

Na tej zasadzie skonstruowana kurja nie byłaby więc ani narodową, ani wyznaniową. Nie narodową—gdyż przymusowo w skład jej weszliby w dość znacznej liczbie i tacy ludzie, którzy się za Polaków uważają, a nawet szczerego patryjotyzmu polskiego liczne w życiu swym składali dowody, i tacy także, którzy uważają się za Rosjan i świadomie przyczyniają się do rusyfikacji naszego kraju a zwłaszcza miast i miasteczek jego wschodnich gubernji.

Jedni i drudzy przez Żydów-narodowców byliby uważani za odszczepieńców. Stąd mogłyby się więc wywiązać walki narodowościowe w obrębie jednej kurji. Nie byłaby ona i wyznaniową; obok Żydów wiernych Staremu Zakonowi znaleźliby się tam w liczbie neofitów prawosławni, protestanci, katolicy — czasem nawet bardzo gorliwi — jak bywają nowo-nawróceni, czasem klerykali i antysemici. Na tym tle wyniknąćby znów mogły walki wyznaniowe z pobożnymi chasydami w obrębie *strefionej* przez ochrzconych Żydów kurji żydowskiej.

Gdyby pomysł takiego zorganizowania onej nieszczęsnej kurji nie świadczył aż nadto wyraźnie o obłędzie nacjonalistycznym jego twórców, możnaby go nazwać piekielnie chytrym. Zamknąć w ciasnym, w obręcze ograniczeń wtłoczonym kociołku kurjalnym taką moc wybuchowego materjału: przesądnej, fanatycznej nienawiści, tradycyjnej pogardy, — pomieszać wyklętych z wyklinającymi, piętnujących z piętnowanymi — może chyba ten, kto dąży do doszczętnego wyniszczenia przez wewnętrzne waśnie uszczęśliwionej tego rodzaju organizacją wyborczą ludności.

W braku wewnętrznej spójni — łącznikiem dla członków tej kurji byłaby tylko ich zewnętrzna izolacja, nałożone na nią piętno upośledzonej i poniżonej obcości. Ta kurja — to rodzaj politycznego „ghetto", wskrzeszający tradycje najczarniejszego średniowiecza w zaraniu wieku XX-go.

Aby się stało zadość jakiemuś nieszczęsnemu fatalizmowi, który nieraz już popychał Żydów do samobójczej polityki, do uświęcania tradycyjną czcią tego, co było wynikiem ich poniżenia, klątwą ich niewoli — i w tym wypadku w łonie narodu żydowskiego znaleźli się namiętni obrońcy tego nowożytnego Ghetta. Wyrazem ich poglądów stał się organ *Neue Welt.*

Kurja żydowska jest dla nich w pierwszym rzędzie oficjalnym uznaniem odrębności narodowej Żydów, szańcem ochronnym przeciw asymilacji, tryumfem nacjonalistycznych idei.

Wybuchają oburzeniem na samą wieść, że zasymilowani Żydzi wystosować mają do Koła polskiego memorjał, domagający się energicznej opozycji prze-

ciw utworzeniu takiej kurji. Już dziś nazywają ich swymi „wewnętrznymi wrogami" i zapowiadają im nieprzejednaną i nie przebierającą w środkach walkę.

Można sobie wyobrazić, jak ciężkim będzie życie tych zasymilowanych, wtłoczonych przemocą w obręb fanatycznego środowiska!

Jeżeli oni — jako *wewnętrzni wrogowie* staną się celem bezpośrednim najdotkliwszych pocisków, to nie ujdzie na sucho i wrogom zewnętrznym, usiłującym „wymierzyć taki cios naszemu narodowemu honorowi i naszym interesom" — jak piszą.

„Ciosem" z ich punktu widzenia byłoby dopuszczenie Żydów na równych prawach z innymi obywatelami kraju do udziału w samorządzie, a ten cios wymierzyć im chcieli „narodowcy i postępowcy polscy", stojący na zasadzie równouprawnienia!

Istotnie, każda szeroka humanitarna zasada jest ciosem dla ciasnego i szowinistycznego separatyzmu. Z tego punktu widzenia dla nacjonalistów żydowskich niema pożądańszego w społeczeństwie polskim prądu, jak antysemityzm. Te dwie wyciągnięte przeciw sobie pięści, grożąc sobie lub nawet kułakując się — wzajemnie się podpierają, służą jedna drugiej jako racja bytu.

Polacy w każdym razie uważani są przez nich za wrogów, — czy kiedy antysemityzm szerzą, czy kiedy go zwalczają. Wrogiem jest ten, kto narzuca tradycyjne piętno żółtego krążka i ten, kto je zdjąć usiłuje; — wrogiem dlatego poprostu, że oni chcą i muszą mieć wrogów, aby okrzykami bojowymi podniecać w sobie poczucie swej odrębności, swej obcości.

Separatyzm żydowski zrodził się w pogromach, w pogromach dojrzewał — jest ich dzieckiem i szpetne ślady tej dziedziczności nosi na swym obliczu.

Jest to smutną dolą naszego obezwładnionego politycznie narodu, że musi dźwigać na swych barkach następstwa cudzych win, a nie może ich złagodzić własnymi choćby najuczciwszymi wysiłkami. Nie można do nas zastosować twierdzenia, że każdy naród ma takich żydów, jakich sobie wychował.

Kto wie? Gdybyśmy mieli możność rozniecenia jasnych i swobodnie płonących ognisk narodowej kultury, zwolna ogarnęłaby ona może tych wszystkich potomków nieszczęsnego ludu, który zawierucha fanatyzmu europejskiego przed wiekami zagnała w nasze progi.

Ale to dla nas dziś jeszcze cel niedościgniony.

Tymczasem zaś wszystkie jady nienawiści, szczepione cudzą ręką, przenoszą się wraz z tłumem pędzonych niedolą wygnańców pod naszą strzechę. Wszystkie klątwy poniewierki, dzikich prześladowań, barbarzyńskiego okrucieństwa chronią się pod nią i wiją sobie gniazda, napełniając nasze smutne cztery ściany ponurym krakaniem.

Czy zdołamy przed tą nawałnicą uchronić choćby tych Żydów, co będąc dziećmi naszej ziemi, już się z nią sercem i tradycją zrośli?

Czy też w otchłani projektowanego Ghetta staną się oni pastwą fanatyzmu swych współplemieńców, którzy znajdą smutne odszkodowanie za doznane krzywdy przez uciskanie tych, którzy z kolei wobec nich będą bezbronną i upośledzoną mniejszością?

Wśród ponurej nocy reakcji, która nas otacza, idziemy wszyscy poniekąd naoślep. Niepewni położenia, nieświadomi skąd grozi niebezpieczeństwo, gdzie wyjście z labiryntu zasadzek i manowców, przechodzimy łatwo z odruchów samoobrony w napady rozjątrzenia.

Wywiązują się stąd te straszne obłędne bójki po ciemku, w których tak często bratnie ręce nieświadomie wymierzają mordercze ciosy, rozpaczliwe uderzenia biją w głuchą pustkę, lub rozkrwawiają się pięści o kamienne ściany.

A przecież świt znów zabłysnąć musi.

# Polityka dworska.

W walce między zachłannym centralizmem niemieckim, podsycanym z zewnątrz przez tę samą potęgę, która ich braci wynaradawia i wywłaszcza, a dążącymi do samoistności i współrzędności praw ludami słowiańskimi — Polacy bądź to zachowują przezorną neutralność, bądź też wysługują się silniejszemu. Lekceważąc prawa, roją o przywilejach a poprzestają na takich, które nie stanowią korzyści istotnej dla narodu, lecz łudzą go pozorami zaszczytów, błyskotkami usypiającymi czujność na poważne niebezpieczeństwa.

Daremnie oczekiwaliśmy od Koła polskiego i delegacji polskich w Wiedniu, by wpływ swój wyzyskały bądź to dla osłabienia zależności Austrji od Niemiec, bądź dla powściągania jej sprzymierzeńca w gorszącej polityce polakożerczej.

Poza jałową manifestacją protestu przeciw krzywdzeniu poznańskich Polaków, manifestacją, będącą pięknym giestem — i niczym więcej, nietylko nie ośmielono się oddziaływać na politykę zagraniczną w duchu polskich interesów, lecz nie uczyniono należytego wysiłku, by postawić zaporę przeniesieniu hakatyzmu na grunt austryjacki. Interes narodowy — o którym tak głośno i tak szeroko mówi się wśród swoich, lub z którego kuje się broń przeciw wewnętrznym wrogom, to jest mniej więcej bezbronnym mniejszościom obcym, przeznaczony jest wyłącznie na domowy użytek — niby wygodny szlafrok, w którym wstyd pokazywać się przy gościach. Na szerszej arenie wiedeńskiej — w kole dygnitarzy — przywdziewa się galowy mundur czysto austryjackiego patryjotyzmu.

Tę politykę — już nie ugodową lecz *par excellence* dworską, którą po stańczykach prowadzą narodowi-demokraci, osłania się przed krytyką wyborców wytwornym płaszczykiem subtelnej dyplomacji o starannie ukrytej patryjotycznej podszewce.

Ustawa językowa, uchwalona przez sejm Austrji dolnej i sankcjonowana przez monarchę, nie spotkała się z opozycją ze strony ministrów Polaków, wtedy gdy ministrowie czescy — jak już wspominaliśmy — uczuli się zniewoleni po uroczystym proteście zgłosić swą dymisję.

Myślą przewodnią tej ustawy było zapewnienie niemczyźnie nietylko bezwzględnych praw języka panującego i urzędowego z wyłączeniem wszelkich innych z obrad sejmu i czynności władz autonomicznych — lecz przyznanie jej tychże wyjątkowych przywilejów w szkolnictwie danego kraju. Ustawa o seminarjach nauczycielskich w Austrji dolnej postanawia, że prywatnym zakładom naukowym tej kategorji może być przyznane prawo publiczności (t. j. prawo wydawania ważnych świadectw) tylko wtedy, gdy ich językiem wykładowym będzie niemiecki.

Z seminarjów przechodzą skutki tego ograniczenia na szkoły ludowe, te bowiem posiadają wtedy tylko prawo publiczności, gdy wykładający w nich nau-

czyciele mają takie same świadectwa jak nauczyciele szkół publicznych. W Austrji dolnej istnieje przymus szkolny, tak samo zresztą jak w Galicji.

Zarówno polskie jak i czeskie dzieci, mieszkające w Wiedniu i okolicy, będą zmuszone — na zasadzie danej uchwały — uczęszczać do szkół niemieckich, gdyż czeskie lub polskie szkoły, jako prywatne i kierowane przez nauczycieli nie mających świadectw seminarjum niemieckiego — nie będą miały prawa publiczności i nie będą brane w rachubę. Przymusowa giermanizacja przez szkołę będzie więc pierwszym bezpośrednim rezultatem owej sławetnej uchwały.

Konserwatywna i narodowo-demokratyczna prasa galicyjska znalazła jednak pozór do bronienia tej ustawy i stanowiska ministrów - rodaków. Pozorem tym jest rzekomo głęboka cześć dla nienaruszalności zasady autonomicznej. Zamiast wniknąć w treść uchwał — czepiano się czysto biurokratycznie formy: Nie można kwestjonować praw sejmów krajowych do stanowienia praw, odpowiadających potrzebom ludności. Gdybyśmy się wtrącali do cudzych uchwał — otwieralibyśmy innym pole do kwestjonowania naszych, czyli do ścieśniania granic autonomji...

Jak widzimy, Polacy powtarzają dosłownie pacierz za panią matką dyplomacją europejską. Gdy się upominali o poskromienie polakożerczych żapędów w Prusach, odpowiedziano im ze strony ministerjum, że rząd nie może się mieszać do spraw wewnętrznych obcego mocarstwa. Dziś oni sami wzdragają się mieszać w wewnętrzne sprawy innych sejmów krajowych, choć tu chodzi o przeniesienie hakatystycznej zarazy w granice Austrji, którą przecież poczytują za swą szerszą ojczyznę i dla której dobra tak często dobro ojczyzny ciaśniejszej gotowi są poświęcać.

Formułka autonomiczna jakże często już dla panujących w Galicji stronnictw bywała pokrywką ich płasko partyjnego lub egoistycznie klasowego interesu! Nienaruszalność swobód autonomicznych stoi dziś na straży kurjalnego systemu wyborczego tak uparcie, że skończyć się może na całkowitym zdyskredytowaniu wobec mas tego w zasadzie słusznego, lecz w praktyce faryzejskiego hasła.

Nie długo zresztą czekała opinja publiczna na zdemaskowanie tych tajnych tendencji, które się ukrywały pod zagadkową dyplomacją ministrów rodaków i popierających ich stronnictw.

Niemal równocześnie z sankcjonowaniem uchwał językowych sejmów dolno-austryjackich pojawiła się u namiestnika i marszałka deputacja Niemców galicyjskich, żądająca osobnej reprezentacji w sejmie i odrębnego szkolnictwa niemieckiego w Galicji. Zupełnie słusznie nazywa to wystąpienie *Kurjer Lwowski* „prowokacją niemiecką". Przy zupełnym braku odporności, powiedzmy: przy serwilistycznej uległości naszej dla dążeń niemieckich w Austrji—hakatystyczna zaraza rozszerza się tak błyskawicznie szybko, że już zakłada swe gniazdo w samym centrum życia polskiego — we Lwowie.

Przedstawiciele niemieckiej mniejszości, która w Galicji wynosi niespełna $3^1/_2$ procent, wcisnąć się usiłują do sejmu polskiego i zdobyć własne seminarjum nauczycielskie, własne szkoły z publicznych funduszów—w kraju, gdzie i tak we wszystkich szkołach przecież język niemiecki wykładany jest jako przedmiot obowiązujący! Marszałek hr. Badeni zupełnie słusznie odpowiedział, że żądanie takie w obecnej chwili, gdy sejm dolno-austryjacki upośledził Polaków i Czechów, nie może być dobrze przyjęte. Liczył się on z izbą, której przewodniczy, a w której wybuchnąłby może żywiołowy protest oburzenia przeciw bezczelności niemieckiej.

Inaczej postąpił namiestnik, były prezes rady szkolnej, dr. Bobrzyński. Obiecał on ze swej strony poparcie tych dążeń, to jest poparcie akcji giermanizacyjnej w samym sercu polskiego kraju. Postępek namiestnika jest wprost niesłychany i nie może on się dziwić, jeżeli fala naturalnego oburzenia, którą wywołać muszą zakusy Niemców, spadnie na niego samego. Postępowe pisma galicyjskie przypominają z jakim kamiennym oporem ze strony Niemców spotkały się usiłowania Polaków do stworzenia polsko-niemieckiego seminarjum nauczycielskiego w Białej. Powstało tam seminarjum niemieckie, polscy namiestnicy—nie chcąc drażnić Niemców, na otwarcie osobnego polskiego nie zezwalali i dopiero prywatna inicjatywa Tow. Szkoły ludowej powołała do życia *prywatne* polskie seminarjum i *prywatne* polskie gimnazjum realne dla pokrzywdzonej ludności polskiej Śląska.

Ale polski namiestnik nie lękał się drażnić Polaków. Ani jemu, ani nikomu zresztą tajnym nie jest, że drobniutka mniejszość niemiecka w Galicji, która przez długie lata żyła sobie spokojnie i szczęśliwie, bez przywilejów lecz nie narażana na żadne krzywdy i nie roszcząca żadnych pretensji — w ostatnich latach popchniętą została do akcji zaczepnej przez pruskie bractwa hakatystyczne. Austryjaccy patryjoci polskiego pochodzenia przez swój tradycyjny lojalizm, popierający *każdy* rząd austryjacki w *każdym* jego przedsięwzięciu, podtrzymują w zewnętrznej polityce istnienie trójprzymierza, a w wewnętrznej — przewagę Niemców austryjackich, leżącą w widokach północnego sprzymierzeńca, którego stają się nieświadomie potulnymi narzędziami.

Im bardziej zaostrza się walka między centralistycznymi a federacyjnymi żywiołami w Austrji, tym skandaliczniejszą postać przybiera rola Koła polskiego jako pogotowia ratunkowego dla *wszystkich* ministerjów.

Dziś właśnie walka ta stanęła na ostrzu noża. Nieszczęsne uchwały językowe postawiły znów przeciw sobie z jednej strony Niemców, z drugiej Unję słowiańską—jako owe kozy z bajki na kładce nad przepaścią. Ci i tamci ustąpić nie chcą. Różnicę między nimi tak charakteryzuje *Kurjer Lwowski*: „Czesi poświęcić chcą dla parlamentu gabinet, *Niemcy dla gabinetu parlament*". Rząd grozi rozwiązaniem izby i zawieszeniem konstytucji t. j. pozaparlamentarnymi rządami na mocy 14-go paragrafu. Jeśliby Koło polskie oświadczyło się przeciw paragrafowi 14-mu, ministrowie Polacy musieliby ustąpić i całe odium absolutystycznych rządów spadłoby na Niemców.

Gdyby za przykładem Polaków poszły i stronnictwa niemieckie, cały gabinet podałby się do dymisji, o co właśnie Unji Słowiańskiej chodziło.

Kiedy klucz od groźnie powikłanej sytuacji znajdzie się w ręku Polaków, rząd nie potrzebuje się rujnować na ustępstwa; dość sypnąć komplementami i zaszczytami.

I teraz więc zaczyna się tradycyjny flirt—z koroną.

Cesarz Franciszek Józef rzuca na szalę swój osobisty wpływ, *prestige* dynastji i majestatu. Powołany przed oblicze monarchy minister Dulęba usłyszał obok wyrazu „ojcowskiej miłości dla kraju" i delikatny apel do starego hasła stańczyków: „przy tobie Najjaśniejszy Panie stoimy i stać chcemy". Narodowo-demokratyczne Koło polskie zapewne zechce tam *stać*, gdzie stali stańczycy. O tym już dziś wątpić trudno. W tym względzie najlepiej poinformowany *Głos Warszawski* już z góry ostrzega, że nie będzie wolno z tej racji robić Kołu polskiemu żadnych zarzutów, bo — polityka trudna rzecz i byle kto jej tajników nie zbada. Innymi słowy znaczy to tyle, że i p. Dmowski w danym wypadku nie oparłby się urokowi „korony".

Na nieszczęście Koło jest dziś mniej jednolite niż było. Nie można liczyć na to, by poseł Stapiński ze swą partją w „staniu i stać chceniu" zamierzał zamknąć swój program polityczny. Przeciwnie; leader ludowców wręcz zapowiada, że w razie oświadczenia się Koła polskiego za Niemcami, t. j. za gabinetem i paragrafem 14-ym — on wystąpi i przejdzie do Unji

słowiańskiej. Co więcej — pojechał do Pragi i tam przemawiał na wielkim czesko-narodowym wiecu.

Dzięki temu wystąpieniu Czesi nauczyli się odróżniać politykę Koła od polityki narodu polskiego i już tego ostatniego nie winią za to, że jego kierownicy zapatrzyli się w „pełne mięsiwa garnki egipskie" osobistych korzyści.

Krótkowzroczna polityka dworska, wodzona na pasku względów osobistych, pochlebnych słówek, honorów i odznaczeń — spada na odpowiedzialność kliki karjerowiczów — dziś bądź co bądź zmuszonych się liczyć z wolą ludu, która ich na krzesła poselskie wyniosła i z krzeseł tych zrzucić może.

Obok przesilenia gabinetowego, grozi przesilenie i rozłam w Kole polskim, zwłaszcza, że obok ludowców protestują już i centrowcy. Klucz od sytuacji łamie się w ręku p. Głąbińskiego a jego koniec przechodzi w ręce posła Stapińskiego, przez niego zaś do Unji słowiańskiej.

Nie całą Polskę błyskotkami łudzić można.

Bądź co bądź—powszechne głosowanie przesunęło punkt ciężkości politycznego wpływu z lekkich i chwiejnych wierzchołków do głębokich i szerokich nizin społecznych, których sentymenta i grzeczności nie nakarmią i nie zaspokoją.

Lud polski nie chce żyrować umów zawieranych w Burgu przez panów polskich, lecz zawiera umowy własne w obronie świeżo zdobytych praw konstytucyjnych, w obronie demokratycznego parlamentu przeciw urzędniczemu gabinetowi.

Dzięki energicznej, samoistnej akcji Stapińskiego polityka dworsko-austryjacka wydaje ostatnie tchnienie, by ustąpić miejsca polityce polsko-ludowej, która i zewnętrznemu i wewnętrznemu hakatyzmowi twardy przeciwstawi opór.

*I. Moszczeńska.*

# Widmo średniowiecza.

Pius X uznał za właściwe rzucić interdykt na miasto Adria.

Kościoły tam zostały zamknięte, wszystkie nabożeństwa i posługi duchowne zawieszone, nawet dzieciom odmawiają chrztu, umierającym ostatniej religijnej pociechy, umarłym pogrzebu.

Nie naszą rzeczą jest sądzić, o ile karanie całego miasta za wykroczenie garstki ludzi, najmniej zapewne zainteresowanych w duchownych posługach i nabożeństwach — karanie małych niemowląt, konających i umarłych jest sprawiedliwym lub celowym.

Ojciec św., którego doradcą jest Duch św., oczywiście nie potrzebuje radzić się zdrowego rozsądku.

Jeśli zresztą biblijny Jehowah za zjedzenie jakiegoś tam jabłka w raju karze nas dotąd, choć ani raju ani owego nieszczęsnego jabłka nie widzieliśmy nigdy — czemużby Pius X miał uczuwać skrupuły w karaniu dziatek, dusz pobożnych, konających—za to, że kilku łobuzów pobiło biskupa.

Pobożny papież, naśladując swego Boga, po naradzie z Duchem św., ze swego punktu widzenia uczynił rzecz świętą i sumienie ma niewątpliwie spokojne.

Fakt ten jednak podnieść należy jako objaw ze wszech miar ciekawy.

Wszak od początku XVII wieku (1606 r.) historja kościelna nie znała już interdyktu... Wszak w prawie kanonicznym mówi się o nim jako o rzeczy minionej, nie używanej już w Kościele — jako o środku już zarzuconym od lat dwustu.

I oto Pius X, następca Leona XIII, wśród blasków XX wieku, wznawia środek, który za nieodpowiedni, przestarzały, niewłaściwy, dziki, uważali papieże wieku XVIII i XIX...

Mało mu było licznych ekskomunik, rzucanych na prawo i na lewo nie na wrogów nawet, ale na najświatlejszych, najbardziej oddanych sprawie Kościoła swych wiernych.

Mało mu było bull i encyklik, tchnących stęchlizną i pleśnią najgorszych czasów średniowiecza.

W jakiejże furji bezrozumnej wstecznictwa, w jakimże zacietrzewieniu obskurantyzmu wznawia dziś smutną praktykę interdyktów. Gdyby nie bezbożny duch czasu, który mu pobożne ręce krępuje, niewątpliwie zrobiłby krok jeszcze i zapalił stosy, otworzył na przyjęcie nowych ofiar wrota inkwizycyjnych więzień, lub wzorem Piusa V, swego „świętego" poprzednika i imiennika wezwał dzisiejszych panujących do wyrznięcia współczesnych heretyków: masonów, socjalistów, modernistów i t. d.—jak tamten wzywał świątobliwie Katarzynę de Medicis do krwawej rozprawy z hugonotami [1]).

Ostatni krok Papieża przekonać powinien największych nawet optymistów katolicyzmu, jaki tam duch panuje w Rzymie, dokąd tam idą i dokąd prowadzić chcą świat i Kościół.

Wznowienie interdyktu w tak bezwzględnej i okrutnej formie — to ostateczne, kategoryczne zerwanie już nie z *modernizmem* tylko lub postępem, ale z całą współczesnością.

To stanowczy zwrot do średniowiecza.

To zdecydowane, fatalne *salto mortale* w mroki barbarzyństwa.

To bezlitosne podeptanie wszelkich złudzeń — jeśli mogły być jakie — że Kościół zrozumie potrzeby nowych czasów i wołanie nowego ducha.

To kłam bezwzględny i niemiłosierny, zadany wszystkim najpiękniejszym, najwznioślejszym marzeniom i nadziejom najlepszych, najświatlejszych ludzi katolicyzmu.

To krwawy, bolesny żart z najpiękniejszych tęsknot i najświętszych pożądań tych, co z katolicyzmem rozstać się nie chcą, ale też i postęp ludzkości kochają i przyszłość jej promienną, co świta.

To pastwienie się bezlitosne nad duszami, już przez ostatnie encykliki poszarpanymi i okaleczonymi.

To *lasciate ogni speranza* rzucone tym, którzy wbrew wszystkim i pomimo wszystko zachowali jeszcze nadzieję — nadzieję lepszego jutra w kościele, nadzieję że kiedyś, kiedyś, i tam się coś zmieni.

To stwierdzenie raz jeszcze wobec tych, którym jeszcze stwierdzenia potrzeba, że nad bramami Kościoła dzisiejszego widnieje napis w rodzaju tego, co nad Dantejskim piekłem: „przeze mnie droga w państwo wiecznych mroków."

I wyzwanie zuchwałe wszystkich, którym na sercu leży dobro i postęp świata—do walki z mocami ciemnymi, na których czele dziś stoi biały starzec z Watykanu.

Fakt rzucenia interdyktu, wyzwania tej zmory średniowiecznej wśród blasków współczesnej cywilizacji, fakt, świadczący tak dobitnie o bezwzględnej reakcji, która zapanowała w Rzymie, smutnym jest i bolesnym, jak każdy objaw wstecznictwa i ciemnoty.

Ci jednak, którzy już złudzeń wszelkich co do katolicyzmu się wyrzekli, z tego i tym podobnych faktów nadzieję na lepszą przyszłość snuć powinni.

Każda bezwzględna, nie licząca się z niczym reakcja złamać się musi.

Kościół, co tak szybko i z taką decyzją szaleńca idzie po drodze wstecznej, sam nie wiedząc o tym — w grób zstępuje.

---

[1]) Dowód, jak demoralizującym jest działanie katolicyzmu na dusze, boć Pius X to człowiek z natury dobry, miłosierny, nie mający dzikich, krwiożerczych instynktów.

Ci, którzy nie wierząc już w możliwość ewolucji katolicyzmu, uważają go jedynie jako zawalidrogę postępu, w zastosowaniu doń zasady „im gorzej — tym lepiej" znajdować powinni otuchę do jaśniejszego patrzenia w przyszłość.

Im gorzej dzieje się w Kościele, im bezwzględniej, brutalniej, bezwstydniej przejawia się w nim reakcja, im więcej głupstw czynią księża, im bardziej kompromituje się Papież, im wyraźniejsze dowody rozkładu w Kościele — tym lepiej dla sprawy przyszłości.

Co umrzeć powinno — niech umiera coprędzej.

Co stało się zaporą lepszej dla świata przyszłości — niech ginie.

Co oszukiwało ludzi pozorami dobroci i świętości — niech zdejmie maskę i ukaże się tym, czym jest istotnie.

Choć bolesną jest rzeczą rozwianie się złudzeń, do których się przywykło, ale lepszą najsmutniejsza prawda niż najpiękniejsze a kłamliwe złudzenie.

. . . . . . . . . . .

Jeśli już interdykty mają ponownie wejść w praktykę Kościoła, spodziewać się można, że i nas kiedyś spotka interdykt.

Byłoby to ciosem dla dusz szczerze pobożnych — boleścią dla tych, których kompromitowanie się Kościoła zasmucić może. Ale społeczeństwo jedynie zyskaćby na tym mogło.

Nie ogłupianoby ludzi, podczas jego trwania — głoszeniem z ambon t. zw. bluźnierczo „słowa Bożego".

Nie obniżanoby uczuć religijnych przez dziecinne dewocje.

Zagniewani pasterze ustaliby w „zbawiennej" trosce o dusze swych owieczek.

Przekonywaliby się ludzie iż można rodzić się, żyć, umierać bez księżej pomocy, bez opłacenia się księżom.

Interdykt rzucony na cały świat katolicki za brak gorliwości i za wykroczenia masonów, socjalistów, modernistów — byleby potrwał długo — byłby jedynym dobrodziejstwem, jakiego możnaby dziś jeszcze spodziewać się od Rzymu. Jedynym prawdziwie pożytecznym czynem, na który zdobyćby się mógł Pius X.

W każdym razie społeczeństwo polskie, nad którym tak zaciężyła w ostatnich czasach ręka księża, zazdrościć może mieszkańcom Adrji chociaż tygodniowego wypoczynku.

*Antoni Szech.*

# Inspektorki fabryczne.

(Dokończenie).

Instytucję inspektorek posiadają od r. 1890 Stany Zjednoczone, w których obecnie funkcjonują one w liczbie 30, zajmując stanowiska zupełnie samoistne. W r. 1892 wprowadziła u siebie tę organizację Anglja, gdzie istnieje specjalny departament, złożony z 7 iu inspektorek pod przewodnictwem zwierzchniczki (*Principal Lady Inspector*). W odpowiedzi na rozpisaną do robotników i pracodawców angielskich ankietę w sprawie wyników działalności inspektorek w tym kraju, wyrażano jednomyślnie niemal życzenie powiększenia ich liczby, jako jedyny w tej n ierze dezyderat. Nadto odpowiedzi pełne są pochwał dla taktu i sprawiedliwości, z jakim inspektorki łagodzić umieją zatargi robotnic z pracodawcami, stać na straży sanitarnych przepisów ochronnych, a nadewszystko otaczać czujną opieką domowy byt robotnic, co wymaga specjalnie kobiecej delikatności i umiaru.

We Francji funkcjonuje 19 *assistantes*, podniesionych od kwietnia b. r. do godności *inspéctrices départementales du travail*. Najoporniej poszło wprowadzenie inspektorek do Niemiec, gdzie zarówno sfery rządzące jak inspektorowie-mężczyźni żywili najrozmaitsze w tym kierunku aprioryczne wątpliwości. Łącznym jednak usiłowaniom niemieckiego Związku Związków kobiecych oraz socjal-demokracji niemieckiej udało się przeforsować wprowadzenie odnośnej reformy zrazu w drobniejszych państwach Rzeszy, z Hesją i Badenją na czele, a w końcu i w Prusach. Obecnie w Niemczech 25 kobiet przyjmuje udział w inspekcji pracy; z tych kilka zajmuje stanowiska samodzielnych inspektorek, pozostałe zaś są asystentkami, a więc siłami pomocniczymi.

Sprawę wprowadzenia inspekcji kobiecej do ustawodawstwa niemieckiego najskuteczniej popchęło naprzód urządzenie przez Związek Związków kursów specjalnych, których zadaniem było przygotowanie fachowe kandydatek na ewentualne posady inspektorek. Kursy te, na których czele stanął jeden z wybitnych inspektorów fabrycznych oraz lekarz higjenista, obejmowały wykłady: *higjeny przemysłowej* ze specjalnym uwzględnieniem szkodliwości pewnych działów i rodzajów pracy na organizm kobiecy, *ustawodawstwa przemysłowego* oraz *prawa policyjnego*, *fizyki*, *chemji*, a nadto *praktyczne* oględziny fabryk. Kursy takie założono zrazu tylko w Berlinie, a potym w Monachjum i Sztugarcie.

Jak niemieckie inspektorki pojmują swoje zadanie, świadczą słowa jednej z nich, inspektorki badeńskiej, panny v. Richthofen: „Moim zdaniem — pisze ona — główne znaczenie pracy kobiet, urzędujących w inspekcji, polega nietyle na wysłuchiwaniu zażaleń robotnic, ile na trafnym spostrzeganiu i samodzielnym wykrywaniu szkodliwych dla organizmu kobiecego warunków. Dopiero po samoistnym zaobserwowaniu braków i wadliwości przystępować należy do wywiadów u samych robotnic. Tylko tą drogą gromadzić się daje cenny materjał, na którego podstawie wyprowadzić można wnioski pozytywne w sprawie reform, ściśle odpowiadających wymaganiom higjeny i etyki".

Z pozostałych krajów europejskich posiadają jeszcze instytucję inspektorek: Danja, Holandja, Szwajcarja i Austrja. W tym ostatnim państwie mianowano pierwszą inspektorkę na okręg fabryczny Wiednia i jego okolic w r. 1906-ym. Obecnie — jak donosi pismo *Sociale Praxis* — dzięki stwierdzeniu bezwzględnie dodatnich wyników tej nominacji, powołano do pracy inspekcyjnej jeszcze cztery funkcjonarjuszki: w Pradze, Brnie, Gracu i Lwowie.

Tyle o działalności inspektorek na Zachodzie.

U nas — jak wiadomo — pomimo zaznaczonego już szybkiego wzrostu liczby robotnic fabrycznych, instytucja inspektorek nie istnieje. Bardzo niedostatecznymi też są — w obec wspomnianego już układu stosunków — prawa ochronne pracy fabrycznej kobiecej. Redukują się one do zakazu pracy nocnej w przemyśle włóknistym oraz — specjalnie dla Królestwa — do zakazu pracy w kopalniach i kamieniołomach.

Obojętność dla tej kwestji, dotąd prawie przemilczanej w naszej prasie, tłumaczy się poniekąd przekonaniem, że dla niej nic realnego uczynić nie można. Zapowiadana jednak obecnie rewizja obowiązującego w kraju naszym prawodawstwa przemysłowego pozwala spodziewać się, że zamierzone reformy uwzględnią też potrzeby robotnic, zgodnie z realnym układem stosunków. W obec tego wydało mi się na czasie poruszenie kwestji robotnic fabrycznych, chociażby w sensie zrobienia pierwszego wyłomu w murze dotychczasowej na tę sprawę obojętności naszego społeczeństwa, a nawet jego sfer, zainteresowanych bezpośrednio.

Podjęcie inicjatywy praktycznej w doniosłej tej sprawie jest rzeczą Stowarzyszeń kobiecych. Winny one w tym celu, łącznie z sympatyzującymi ze sprawą organizacjami zawodowymi — mieszanymi czy męskimi — rozpocząć starania o uzyskanie na drodze ustawodawczej ziszczenia rzeczonej reformy. Zarazem jednak zadaniem ich jest oddziaływanie na opinję — drogą odczytów, artykułów, broszur, by ich żądania poparła. Ważnym środkiem pomocniczym przy tej pracy będzie zapoznanie się dokładne z obowiązującą u nas ustawą przemysłową oraz organizacją funkcjonującej u nas inspekcji.

Znajomość tej organizacji przekonywa, że u nas stanowiska inspektorów mogą zajmować jedynie osoby z wyższym technicznym wykształceniem, co wypływa z ich funkcji, obejmujących zarazem rewizję kotłów parowych. Wobec coraz bardziej jednak rozpowszechniającego się u nas wyższego kształcenia kobiet, warunek ten nie przedstawi, sądzę, szczególnych trudności. Do usunięcia ich przyczynić się może zorganizowanie specjalnych kursów przygotowawczych, na wzór niemiecki. Nie w tym też tkwi główny punkt ciężkości. Powoływanie kobiet na odpowiedzialne stanowiska inspektorek fabrycznych winno się dokonać w myśl zasady: nie przepisy, lecz ludzie decydują o wartości reformy.

*R. Centnerszwerowa.*

# W sprawie naszego wychowania politycznego.

Sto lat prawie mija od chwili, kiedy społeczeństwo nasze usunięte zostało od wpływu na stosunki polityczne kraju, a od lat pięćdziesięciu nie bierze już ono prawie żadnego udziału w jego administracji.

Okoliczność ta odbiła się nietylko na zewnętrznych warunkach naszego bytu, ale, i co ważniejsza, na naszym wychowaniu politycznym.

Warunki zewnętrzne ulec mogą zmianie, nowe porządki, nowe instytucje zająć miejsce poprzednich, po których w bardzo krótkim czasie wszelkie ślady zaginą, jak to nieraz mieliśmy sposobność przekonać się w dziejach naszych ubiegłego stulecia; skutki ich wewnętrzne wszakże są o wiele trwalsze.

Rząd i zarząd kraju, to także sztuki, wymagające wiedzy i rutyny.

Najstarsze nawet, żyjące dziś pokolenia, nie mogły nabyć ani jednej, ani drugiej.

Usunięci od katedr uniwersyteckich, nie pracowaliśmy na polu umiejętności prawa państwowego i administracyjnego; usunięci od posad w administracji kraju, nie mamy praktyków w tym kierunku; usunięci wreszcie od wszelkiego wpływu na reformy i prawodawstwo administracyjno-polityczne, przestaliśmy się zajmować tymi, najważniejszymi i najżywotniejszymi, sprawami naszego bytu.

Nie można winić za to społeczeństwa; jest to naturalny wynik warunków, wśród których spędziliśmy ubiegłe stulecie.

Ale tym bardziej powinniśmy uświadomić sobie okropny stan naszego przygotowania administracyjno-politycznego. Nie chodzi mi tu o wpływ, który stan ten wywiera na nasze ideje polityczno-społeczne, o brak poczucia rzeczywistości, który ujawnia się we wszystkich prawie koncepcjach ogółu w sprawach politycznych, o tę „ogólnikowość" że się tak wyrażę, naszych poglądów w tej dziedzinie, chodzi mi o rzeczy bardziej proste, bardziej elementarne, chodzi mi o ten rażący brak wiadomości z prawa państwowego i administracyjnego, który prędzej czy później da się nam silnie we znaki.

Zapewne, że nie można odrazu zbudować tego, co jest wszędzie dziełem ciągłej pracy pokoleń; zapewne, że warunki nie zmieniły się na tyle, a i sam przedmiot, o którym mówimy, nie jest tego rodzaju, abyśmy, choćby kosztem największego wysiłku, mogli w krótkim czasie wypełnić luki, pozostawione przez połowę, a może i więcej, stulecia.

Ale tym bardziej powinniśmy wziąć się do pracy, w granicach możności.

Cała literatura chwil niedawno ubiegłych, agitacyjna, raczej publicystyczna niż naukowa, miała znaczenie chwilowe, i wraz ze zmianą położenia straciła je zupełnie. Obok kilku przekładów dzieł obcych z prawa państwowego, kilku książek oryginalnych, przeważnie pośpiesznie napisanych i stąd niewielkiej wartości naukowej, epoka wolnościowa nie stworzyła zupełnie literatury prawno-politycznej, nie dała nam tego, czego prędzej czy później będzie nam potrzeba.

Poseł, wybrany do Dumy, wyborca orjentujący się w programach stronnictw, publicysta, omawiający sprawy polityczne, radca miejski czy ziemski, każdy wreszcie obywatel musi mieć łatwość zapoznania się z istniejącym prawodawstwem politycznym i administracyjnym, mieć pewien materjał historyczny i porównawczy, mieć wreszcie pewne wskazania teoretyczne, przystosowane do naszych potrzeb i warunków.

Tego wszystkiego u nas niema, ale to trzeba stworzyć koniecznie i to właśnie teraz, właśnie w epoce reakcji, abyśmy byli przygotowani do poważnej, solidnej roboty politycznej, kiedy życie nas do niej powoła.

Myśl ta żywo mnie zajmuje od chwili, kiedy warunki naszego istnienia uległy pewnej, choć małoznacznej, zmianie.

Co zrobić należy przedewszystkim, aby wypełnić braki naszej wiedzy politycznej i administracyjnej?

Odpowiedź na to pytanie postarałem się przyoblec w czyn. W tym celu rozesłałem do niektórych prawników naszych oraz instytucji społecznych list następującej treści, który tutaj powtarzam dosłownie, wyjaśnia on bowiem dokładnie proponowany przeze mnie jeden ze sposobów zaradzenia brakom naszego dorobku politycznego.

„W ciągu stulecia ubiegłego, a szczególniej drugiej jego połowy, społeczeństwo nasze było usunięte prawie zupełnie od wpływu na stosunki polityczne kraju; okoliczność ta odwróciła uwagę ogółu od zagadnień prawa państwowego i administracyjnego, co pociągnęło za sobą nietylko nieznajomość przedmiotu, ale, z powodu braku odpowiedniego piśmiennictwa, zupełną niemożność poznania go. Dało to się silnie odczuć kiedy zmiana warunków powołała nasze społeczeństwo do udziału w życiu politycznym, bez względu na rozmiary i znaczenie tego udziału. Ostatnie trzy lata nie wzbogaciły naszej wiedzy prawno-politycznej i dziwić się nie można, że w ciągu tak krótkiego czasu nie zdołano użyźnić pola, długie lata leżącego odłogiem. Tymbardziej więc teraz nie należy tracić czasu.

Zagadnienia z dziedziny prawa państwowego i administracyjnego nastręczają się i nastręczać będą na każdym kroku zarówno w sferze postulatów i programów politycznych, jak i działalności praktycznej. A tymczasem brak zupełnie odpowiednich źródeł wiedzy, zastosowanych do naszego przygotowania i potrzeb.

Należy więc stworzyć piśmiennictwo prawno-polityczne i uprzystępnić je ogółowi.

Najlepszą ku temu formą będzie wydawnictwo perjodyczne, poświęcone wyłącznie prawu państwowemu i administracyjnemu, które mogłoby nosić tytuł „Bibljoteki prawno-politycznej" i wychodzić w zeszytach miesięcznych po 10 arkuszy druku.

Bibljoteka powinna być wydawnictwem czysto naukowym, nie powinna służyć żadnym tendencjom, ani też interesom partyjnym, ale za cel postawić sobie: zadośćuczynienie naglącej potrzebie życia przez dostarczenie

społeczeństwu materjału faktycznego i teoretycznego, na którego podstawie mogłoby ono budować swoje poglądy polityczne i nadawać kierunek swojej działalności.

Sprawą najbliższą, wymagającą wyjaśnienia teoretycznego i historycznego, jest sprawa zarządu Królestwa Polskiego, a ściślej—samorządu i wszystkich związanych z nim zagadnień. W pierwszym roku zatym należałoby zamieścić w Bibljotece:

I. Tekst ustaw politycznych państw europejskich, a na początek dać Austrję, najbardziej swoim składem zbliżoną do Rosji, jej prawa zasadnicze i wszystkie ich rozwinięcia, a dalej ustawy krajowe i ich rozwinięcia z komentarzami, oraz wstępem historycznym; potym mogłyby pójść Niemcy i Prusy i t. d.

II. Historja zarządu wewnętrznego Polski od najdawniejszych czasów aż do chwili obecnej.

III. Organizacja zarządu prowincjonalnego w państwach zachodnich i Rosji, przedstawienie teoretyczne i historyczne z wyjaśnieniem organizacji obecnych:

IV. Przekład jakiegoś podręcznika teorji prawa państwowego.

Oprócz tego dwa arkusze druku co miesiąc przeznaczyćby należało na kronikę prawno-polityczną krajową, rosyjską i zagraniczną, oraz na bibljografję i sprawozdania z pism naukowych prawno-politycznych".

Dalej idzie obliczenie kosztów przyszłego wydawnictwa. Ustępu tego nie powtarzam, gdyż zająłby on zbyt dużo miejsca, a, w tym wypadku, niewielkie ma znaczenie, tymbardziej, że rachunkom moim robiono zarzut zbytniego optymizmu.

Być może; ale ja trwam przy nim i mam do tego powody. Wzruszająca wprost skwapliwość, z jaką odpowiadano przeważnie na moją odezwę, daje mi zasadę do przypuszczenia, że myśl moja dojrzała już w społeczeństwie, wykonanie jej zatym znajdzie bezwątpienia należyte poparcie.

Towarzystwo Prawnicze, do którego zwróciłem się przedewszystkim, nadesłało mi w odpowiedzi list następujący:

„Mimo uznania projektu Sz. Pana założenia „Bibljoteki prawno-politycznej" za godny ze wszechmiar poparcia, Rada, wobec szczupłych funduszów T-wa, nie widzi możności przyjęcia w projektowanym wydawnictwie czynnego udziału, co jednak w niczym nie krępuje zarówno poszczególnych członów Rady, jak i członków naszego T-wa. Z poważaniem (podp.) Prezes Karol Dunin. Sekretarz Członek Rady: Bolesław Rotwand".

Towarzystwo popierania pracy społecznej na posiedzeniu swego Komitetu uchwaliło poprzeć wydawnictwo, przez wzięcie jednego udziału 50 rublowego.

Na takież udziały zapisali się: adwokaci, pp. Dominik Anc, Wincenty Biskupski, Józef Brzeziński, Karol Dunin, Cels Fabiani, Józef Higersberger, Stanisław Kempner, Henryk Konic, Stanisław Leszczyński, Ludwik Marczewski, Jan Mrozowski, Leon Papieski, Antoni Rembieliński, prof. Władysław Smoleński, Tadeusz Strzembosz, Adolf Suligowski, oraz rejent Józef Światopełk-Zawadzki.

Lista ta nie wyczerpuje zapewne wszystkich tych prawników, którzy bezwątpienia chętny udział w projektowanym wydawnictwieby wzięli; sądzę jednak, że instytucje i nazwiska, powyżej przytoczone, dostatecznie zalecają myśl przezemnie podjętą i bezwątpienia znajdą licznych naśladowców zarówno w kole prawników, jak i uświadomionych należycie obywateli naszego kraju.

Wezwanie do udziału w projektowanym wydawnictwie stanowi jeden z celów, dla którego podaję go do publicznej wiadomości, aby ułatwić zadanie tym, którzy go w czyn wprowadzać będą.

Nie uważam się za właściciela projektu i z wielu względów nie mogę być ani jego redaktorem, ani wydawcą, i dlatego zarówno sam projekt, jak i listy zapisów na udziały, przesyłam instytucji społecznej, przedewszystkim powołanej do organizacji projektowanego pisma, które, ze względu na swe znaczenie powinno być własnością społeczeństwa, więcej powiem, powinno być instytucją narodową.

Projekt przesyłam Towarzystwu prawniczemu. Ponieważ według listu, przytoczonego powyżej, tylko brak środków staje mu na przeszkodzie do wzięcia udziału w wydawnictwie, sądzę, że szkopuł ten usunięty zostanie przez zapisy dotychczasowe i o wiele liczniejsze, bezwątpienia, zapisy w przyszłości; sądzę również, że, pozostawiając organizację i przyszłe wydawnictwo Towarzystwu prawniczemu, poprzeć wydawnictwo materjalnie powinny przedewszystkim instytucje społeczne, jak np. Towarzystwo właścicieli nieruchomości, Stowarzyszenie techników, Koło przemysłowców, Stowarzyszenie kupców polskich, Towarzystwa rolnicze, dalej takie instytucje jak kasa Mianowskiego, Towarzystwo naukowe i t. d., nie mówiąc już o bogatych przedsiębiorstwach przemysłowo-handlowych, bankach, a wreszcie o osobach prywatnych.

Nie wątpię, że Towarzystwo Prawnicze nie odrzuci zadania, które wkładam na jego barki, że spełni swój obowiązek wobec społeczeństwa, nie wątpię również, że społeczeństwo poprze jego usiłowania.

W ten sposób przygotujemy pewne podstawy dla naszego, aż nazbyt zaniedbanego, wychowania politycznego.

Zapewne, że „Bibljoteka prawno-polityczna" nie spełni tego wszystkiego, co zrobić w tym kierunku należy; wiele innych prac, ten sam cel mających, na nas czeka.

Ale trzeba zacząć; w myśl starego przysłowia: ziarnko do ziarnka, zbierze się miarka.

*Józef Lange.*

# NA DOBIE.

## Pan Suligowski dziękuje.

Skończyła się tragifarsa rozpraw Rady do spraw gospodarki miejscowej, nazwana ironicznie w prasie rosyjskiej „Przeddumą".

Treść jej uchwał świadczy, jak monstrualne wyniki daje udział antykonstytucyjnych żywiołów w tworzeniu konstytucyjnych form życia. Pod ich opieką mają się one nie lepiej niż niemowlęta na garnuszku u fabrykantki aniołków.

Jedyną pociechą może być dla nas nadzieja, że istotna Duma — choć taka jak jest, nie zechce się ośmieszyć zatwierdzeniem uchwał „przeddumy".

Doprowadziwszy „samorząd polski" do zera i poniżej zera, oczekiwali rosyjscy członkowie „przeddumy" wybuchu oburzenia w zapowiadanym przez Polaków *votum separatum*, sami — po ludzku sądząc — uważaliby to za rzecz nieuniknioną.

Tymczasem nic z tego. Votum separatum zawierające zastrzeżenia tylko co do języka polskiego — przeszło bez wrażenia, natomiast — piorunujący, — bo całkiem niespodziewany efekt sprawiła dziękczynna mowa adwokata Suligowskiego. Za co dziękował? Za praktyczne i pożyteczne wskazania, których Polacy trzymać się będą... Ach! dosyć. Pan Suligowski nie ma prawa imieniem Polaków dziękować ani przyrzekać. Nie Polacy też go do tej rady zawezwali. Polacy z Litwy i Rusi, w ten sam sposób powołani do wysłuchania pożytecznych wskazań, nie zdołali dosiedzieć do końca obrad. Pan Suligowski wytrwał, wytrzymał wszystkie razy — jeszcze w końcu podziękował czyli z pokorą ucałował rózgę. Zdumiewająca

tresura!... w sam raz do takiego samorządu, jaki tam uchwalono.

O takiej to cnocie pisał ongi Mickiewicz, że „jest psu zasługą, człowiekowi grzechem".

## „UTOPJA W ROZWOJU HISTORYCZNYM".

(Odczyty Aleksandra Świętochowskiego.)

I.

Pierwszy z szeregu odczytów, objętych tytułem powyższym, rozpoczął prelegient od zaznaczenia zakresu, w jakim pojęcie utopji w cyklu wykładów swoich traktować zamierza.

Utopja wogóle jest to pewien program urządzenia stosunków społecznych, najlepszego według pojęć jej twórcy. Niema epoki, niema narodu, niema człowieka, coby nie marzył o jakimś raju na ziemi, o poprawieniu warunków współżycia ludzi. W tym znaczeniu utopja poprzedza każde przeobrażenie społeczne, a dzieje jej — to dzieje kultury powszechnej. Wszystko, co współdziała jej rozwojowi — zanim wejdzie w życie, jest do pewnego stopnia utopją.

Swiętochowski jednak nie utopję w tym szerokim znaczeniu wziął za przedmiot swych wykładów. Celem jego jest przedstawienie w rozwoju historycznym utopji, jako pewnych planów nowego życia, skończonych systematów, które mają stworzyć raj na ziemi.

Sięgając do początków historji utopji, na pierwszym miejscu co do czasu postawić należy Platona. Jemu też i jego utopji poświęcony był głównie pierwszy odczyt A. Swiętochowskiego a rozpoczęło go odmalowanie tła historycznego, na którym ona powstała.

Platon urodził się prawie w chwili, kiedy Perykles, umierając, uniósł ze sobą do grobu cały majestat demokracji ateńskiej. W dzieciństwie i młodości widział bezprawia ludu, niepowodzenia wyprawy sycylijskiej, śmierć Sokratesa, upadek Aten i tryumf Sparty. Wszystko to, łącznie z naukami jego mistrza i podróżami na Wschód, wpłynęło na sformowanie się jego poglądów państwowych. Z poglądami tymi, w zakresie swego tematu i na podstawie dwuch głównie djalogów Platona, a mianowicie „Państwo" i „Prawa", zapoznał prelegient swych słuchaczów. Platon, jak wiadomo, za ideał uważał państwo, rządzone przez filozofów. Rząd należeć powinien do ludzi, którzy opanowali wszystkie swe namiętności, oczyścili z nich zupełnie swą duszę, zbliżyli się do doskonałego ideału wiecznego. A ponieważ z natury samej zdolności moralne nierównomiernie podzielone są między ludzi, filozofowie wyobrażają rozum, wojownicy — odwagę, a lud — namiętności, więc też odpowiednio do tego pierwsi powinni rządzić, drudzy bronić kraju, a lud go wzbogacać.

Państwo Platona istnieje właściwie tylko dla dwuch pierwszych kategorji obywateli; istnienie ludu zajmuje go o tyle, o ile jest on potrzebny dla utrzymania filozofów i wojowników. Oni urzeczywistniają ideę państwa; panuje między nimi zupełna harmonja, bo nie mają ani własności dóbr ziemskich, ani własnych żon i dzieci. Kobiety i dzieci są wspólne. Ale do spełnienia swych ważnych zadań, filozofowie i wojownicy rodzić się powinni z odpowiednich rodziców, otrzymać odpowiednie wychowanie i odbierać odpowiednie wrażenia. Platon nie waha się w tym celu spętać woli ludzkiej nieskończoną ilością formuł i ograniczeń; państwo normuje wszystkie ruchy obywatela niemal od urodzenia, aż do śmierci. W ten sposób spodziewa się Platon wychować pokolenia, przystosowane do swych zadań rządców i obrońców kraju i stworzyć doskonałą harmonję państwa i jednostki. Już w „Państwie" wyraża Platon pewne wątpliwości, czy wymarzony przezeń raj da się urzeczywistnić, w „Prawach" zaś, wydanych zresztą po jego śmierci dopiero, przyznaje się do niemocy swej utopji i w tym djalogu robi już mnóstwo ustępstw na rzecz rzeczywistego układu stosunków ludzkich. Zrobić to musiał, bo nawet w państwie starożytnym, które wogóle pochłaniało obywatela, ten despotyzm, ta ingierencja państwa we wszystkie najdrobniejsze i najbardziej osobiste czynności ludzkie, zmieścić się nie mogła.

Platon, to właściwie jedyny utopista starożytności, który stworzył plan nowego życia.

Oprócz niego wspomniał więc A. Swiętochowski tylko o opisie Ksenofonta dworu władców perskich, oraz o baśniach poetyckich, które opisywały nieistniejące kraje hyperboreów i t. p. Zresztą, nie stanowią one utopji w ścisłym znaczeniu.

*i. p.*

## Polski Kongres Pedagogiczny we Lwowie.

W roku ubiegłym Polskie Towarzystwo Pedagogiczne we Lwowie obchodziło 40-o letni jubileusz swego istnienia. Data powstania tej instytucji schodzi się ściśle z rocznicą utworzenia Rady Szkolnej Krajowej, będącej owocem usankcjonowanej w 1867 r. przez rząd wiedeński ustawy o krajowym języku wykładowym w szkołach średnich i ludowych w Galicyi. Równocześnie z wprowadzeniem w życie tej ustawy przez Gołuchowskiego, ujawniły się wśród społeczeństwa pełne energji dążenia do gruntownych i wszechstronnych reform w szkolnictwie.

Areną, na której w latach 67 i 8-ym wypowiadano dezyderaty i roztrząsano projekty, było pismo, założone przez znanego zaszczytnie księgarza Wilda, p. t. „Szkoła". Istnieje ono po dziś dzień jako organ lwowskiego Tow. Pedagogicznego.

W roku 68 ym grono najgorętszych rzeczników reformy zwołało pierwszy wielki Zjazd pedagogiczny; na porządku dziennym znalazły się wtedy wszystkie sprawy dotyczące szkolnictwa krajowego i narodowej oświaty. Ożywionym, często burzliwym obradom przewodniczył Antoni Małecki. Następstwem tego Zjazdu było zawiązanie Towarzystwa o zakresie nadzwyczaj szerokim; miało ono ogarniać wszelkie sprawy wychowawcze, łącząc w swym gronie wszystkie kategorje profesorów i nauczycieli, zarówno jak i wszystkich obywateli interesujących się sprawami wychowania. W pierwszej dobie swego istnienia Towarzystwo posiadało istotnie, nadany mu przez Zjazd organizacyjny, charakter — społecznego współczynnika wobec urzędowej Rady Szkolnej. Ustrój wewnętrzny Towarzystwa polegał na federacji antonomicznych kół prowincjonalnych, których liczba wnet doszła do kilkudziesięciu. Doroczne Zjazdy, odbywające się kolejno w różnych punktach kraju, utrzymywały silną spójnię wśród nauczycielstwa. Wogóle w życiu społecznym i umysłowym Galicji Towarzystwo odgrywało wówczas bardzo poważną rolę. Z biegiem lat wybiło się na pierwszy plan jego wszechstronnnej działalności dążenie do podniesienia społecznego stanowiska nauczycieli ludowych i polepszenia ich materjalnego bytu. Z ram ogólnej organizacji wyłoniły się nowe, niezależne grupy jak „Stow. nauczycieli szkół wyższych", „Tow. Kolonji wakacyjnych dla młodzieży" i kilka innych, — stąd wyszła też inicjatywa utworzenia Tow. Szkoły Ludowej. Tow. macierzyste zredukowało się niejako do roli reprezentanta i obrońcy jednego stanu, t. j. nauczycieli ludowych, a nie mogąc nawet zadowolić wszystkich żywiołów tego odłamu, traciło coraz więcej wpływ na ogólny tok spraw wychowawczych.

Dziś po latach 40-tu, robiąc bilans świetnie zapoczątkowanej działalności, stwierdzić trzeba to zwężenie się niejako ram i zakresu, wynikające jednak

w znacznej mierze z naturalnego prawa rozwoju, niosącego ze sobą konieczność różniczkowania i specjalizacji.

Objawem chęci wskrzeszenia dawnych świetnych tradycji był zwołany z inicjatywy Towarzystwa na dzień 1-go b. m. ogólny kongres pedagogiczny, w którym wzięli udział przedstawiciele wszystkich niemal polskich instytucji wychowawczych i oświatowych, oraz liczne rzesze nauczycieli szkół ogólnokształcących i zawodowych.

Gorliwi pionierzy postępu polskiego szkolnictwa w Galicji, przed 40-tu laty, na pierwszym Zjeździe, w płomiennych przemówieniach potępiali stosowaną naówczas szeroko w rządowej austryjackiej szkole karę cielesną, żądali stwarzania wyższych uczelni dla kobiet, wołali o zakładanie szkół przemysłowych, o oparcie podwalin przyszłości narodowej na dobrze zorganizowanej szkole ludowej.

Wiele z ich postulatów zostało zrealizowanych,— ogólny jednak ton obrad na obecnym Zjeździe dowodził, że rozwój spraw szkolnych w Galicji, w ciągu czterdziestolecia autonomicznego istnienia, nie dorównał rozwojowi potrzeb i nie doszedł nawet do przeciętnej skali, osiągniętej na tym polu przez inne narody. Głęboko sięgający krytycyzm względem obecnego stanu nurtuje wśród szerokich mas nauczycielstwa, udzielając się powoli całemu społeczeństwu, szczery impuls i zapał w szukaniu dróg naprawy i postępu pozwalają wróżyć nadejście nowej fali odrodzeniowej, której, mimo swe urzędowe skostnienie — ulec będzie musiała i Krajowa Rada Szkolna.

Materjał zgromadzony dla obrad kongresu podzielono na następujące sekcje:

1) Wychowania fizycznego, 2) Szkolnictwa ludowego i seminarjów nauczycielskich, 3) Szkolnictwa średniego, 4) Wychowania dziewcząt, 5) Wychowania pozaszkolnego i wychowania sierot.

Referaty sekcyjne poświęcone były prawie wyłącznie sprawom szkolnictwa galicyjskiego, tu wystąpiły też na jaw wszystkie bolączki miejscowych stosunków. A więc w sekcji ludowej omawiano szeroko wadliwość obecnego ustroju dwutypowego seminarjów, oraz różnicę poziomu programowego szkół ludowych miejskich i wiejskich, przyczym potrącano o opłakane warunki służbowe i uposażenia nauczycieli. Za jedną z najbardziej palących spraw uznano słusznie przepełnienie szkół ludowych, wykluczające z góry wszelkie usiłowania wychowawcze, na indywidualizacji oparte. Urzędowy przymus szkolny z jednej, a niedostateczna ilość szkół z drugiej strony — wytwarzają sytuację bez wyjścia. I jak tu w takich warunkach myśleć o podziale uczniów według zdolności, lub stworzeniu na wzór niemieckich „Hilfsklassen" specjalnych oddziałów dla dzieci zapóźnionych w rozwoju? Silnie bardzo akcentowane było w obradach żądanie podniesienia naukowego poziomu seminarjów dla nauczycieli ludowych, oraz udostępnienia tym ostatnim wykładów uniwersyteckich.

W związku ze szkolnictwem ludowym był też referat „o szkołach gospodarczych dla dziewcząt włościańskich", podnoszący nieuwzględnianą dotąd zupełnie potrzebę zawodowego kształcenia kobiet wiejskich, w celu podniesienia tą drogą krajowej wytwórczości przemysłowo-rolnej.

Sekcja szkolnictwa średniego dała w doskonałym referacie prof. Łopuszańskiego pełny obraz niedomagań przetłumaczonego na język polski gimnazjum austryjackiego — w świetle nowoczesnych poglądów dydaktycznych, ze specjalnym naciskiem na panujący w nich jeszcze klasycyzm.

Rozprawy sekcyjne nad wychowaniem dziewcząt śmiało nazwaćby można wiecem w kwestji równouprawnienia, który pozytywnych postulatów pedagogji nie przysporzył.

Znaczenie specjalne miała natomiast sekcja wychowania dzieci bezdomnych, w której skrystalizował się system „gniazd sierocych", wprowadzany tytułem próby w ciągu roku bieżącego w Galicji, a mający zastąpić skutecznie szablon filantropijnego internatu.

Sekcja wychowania fizycznego nie wyszła poza przeżuwanie ogólnie uznanych prawd: o znaczeniu zabaw ruchowych, normach pojemności sal szkolnych, potrzebie stałych lekarzy szkolnych i t. p.

Sprawy o charakterze ogólniejszym wyprowadzono na plenum. Prądy polityczne krążące najsilniej w dzisiejszym składzie Towarzystwa Ped. ujawniły się w przyznaniu stanowiska sztandarowego referatowi p. Z. Balickiego, p. t. „Zasady wychowania narodowego".

Referat ten miał stanowić punkt ciężkości Zjazdu, nie stanął jednak na wysokości zadania. Niemal wszystko, co było wypowiedziane w Sekcjach, miało charakter negatywny,—praca o „Zasadach wychowania narodowego" miała być drogowskazem dla pozytywnej pracy reformatorskiej; była to zaś tylko garść ogólników zaczerpniętych z Nietsche'go, Ruskin'a, Lacordaire'a i — Dmowskiego, na tle reminiscencji z poglądów Komisji Edukacyjnej i mglistych teorji o specyficznych właściwościach duszy polskiej.

Przypadkowo postawione obok siebie na porządku dziennym referaty p. Barańskiej „o nauce historji w szkole ludowej" i prof. Kulwiecia „o krajoznawstwie" kojarzyły się ze sobą w dziwnie logiczną całość. Prof. Kulwieć motywował konieczność wprowadzenia do programów szkolnych krajoznawstwa, t. j. syntezy z gieografji, historji i etnografji, dającej nietylko pojęcie o suchych faktach i oderwanych zjawiskach, ale pozwalającej wniknąć w życie ludzi i jego ustrój na tle rodzimej przyrody.

Z referatu p. B. wyłonił się obraz dzisiejszego traktowania rzeczy ojczystych, — dezyderatami na przyszłość jest tu jeszcze: przedłużenie kursu nauki dziejów ojczystych z jednego roku na dwa, objęcie kursem dziejów porozbiorowych, których program obecny zupełnie nie uwzględnia, oraz zdobienie ścian szkolnych obrazami i wizerunkami treści historycznej.

Na tle tych skromnych żądań zrozumialszą się staje rażąca nas nieraz tendencja do częstych obchodów i uroczystości, którymi pewne grupy społeczeństwa łatać chcą odczuwane luki w uświadomieniu narodowym.

Od ogólnego tonu odbiegał dość znacznie referat p. Szycówny „Zasady dydaktyki nowoczesnej". Utyskiwaniom i projektom mniej lub więcej zasadniczych ulepszeń, związanych ściśle z gruntem faktycznego stanu szkoły galicyjskiej, referentka przeciwstawiła niezależny od lokalnych warunków rozwój dydaktyki jako nauki teoretycznej, opartej na eksperymencie psychologicznym i dającej dopiero wyniki swe na praktyczny użytek wychowawcy.

Różnorodność i obfitość nagromadzonych kwestji nie pozwalała wyczerpać ich całkowicie, ani pogłębić. Wartości zjazdu nie należy też szukać w jego znaczeniu naukowym, raczej spodziewać się po nim można rezultatów społecznych, przez ujawnienie i oświetlenie wielu potrzeb podstawowej dziedziny życia narodowego, tym więcej, że zaspokojenie takowych leży bądź co bądź w zakresie wykonawczym organów zależnych od społeczeństwa.

Splątanie spraw szkolnictwa, wychowania i oświaty ludowej wyszło szczególniej na niekorzyść tej ostatniej. W sekcji podjęto zaledwie cząstkę zagadnień zasadniczych. Referat p. Stępowskiego „Wspólna praca wszystkich Tow. oświatowych w kierunku pogłębienia oświaty ludowej" — umieszczony jako ostatni punkt porządku dziennego, przeszedł bez należnego wrażenia, pomimo, iż poruszał sprawę pierwszorzędnej wagi.

Nasze Towarzystwa oświatowe, tak jak i organa prasy ludowej, odbiegają daleko od ideału pracy kulturalnej, wolnej od wszelkiego partyjnego zabarwienia

i zależności, — w Galicji specjalnie służą one niejednokrotnie klikom, lub wytkniętym celom politycznym; włościanin, czy robotnik przestaje być jednostką, której otwiera się dostęp do samodzielnej pracy myślowej, a staje się materjałem, z którego należy urobić pewien szablon, a w ostatecznej konsekwencji — wyborcę.

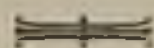
Czy w takich warunkach współdziałanie stowarzyszeń, zajmujących nieraz wprost konkurencyjne stanowiska, jest możliwe? i czy na tej drodze da się przeprowadzić owo rzeczywiście niezbędne pogłębienie tej rozbieżnej, dorywczej, agitacyjnej pracy, — tego pod szersze rozprawy nie poddano.

Atoli przedstawiony przez p. Radlińską projekt stworzenia instytucji centralnej, która byłaby zrazu tylko archiwum i biurem informacyjnym dla wszelkich przedsięwzięć oświatowych, a z czasem staćby się mogła rodzajem spoidła, wiążącego pojedyńcze wysiłki w jedną konsekwentną całość — wywołał wprost zdziwienie i zupełny brak wiary w realną możliwość urzeczywistnienia.

Głucho też zabrzmiał okrzyk, którym prezydjum zakończyło obrady kongresu: „niech żyje wychowanie całego narodu!"

*I. K.*

# BADANIA NAUKOWE.



## Polityka społeczna wobec niezawinionego bezrobocia.

I.

Nad systemem najmu zarówno w dzisiejszym jak i w przedkapitalistycznym jego okresie — ciąży przekleństwo niestałości zarobków. Zastępcy żebraków, ludzi *luźnych*, ruchomej armji pracy, która powiększała liczbę ubogich w miastach wieków średnich, wzrastają od chwili, gdy maszyna zastępuje robotę rzemieślnika, a manufaktura wchodzi na miejsce drobnych przedsiębiorstw. Egzystencje dawniej pewne, ustalone a nawet przeznaczone do stopniowego podnoszenia skali dobrobytu i społecznego stanowiska przechodzą w szeregi proletarjatu i podzielają zmienne jego koleje. Okres od 15 do 18 stulecia przepełniają skargi na mnogość żebraków, wzdragających się pracować, oraz próby wynalezienia pracy dla ubogich zdolnych do pracy. W ostatnich dziesiątkach XVIII wieku liczono w Kolonji 10 do 11 tysięcy żebraków na 40 tysięcy mieszkańców. W Hamburgu z pomocy dobroczynnej żyła dziesiąta część mieszkańców, a w Berlinie na 112 tys. ludności było 17 tysięcy ubogich (D-r E. Philippovich — Volkswirtschaftspolitik II). Spis ludności Warszawy z 1787 r., który między innymi miał na celu wykrycie liczby żebraków, włóczęgów i ludzi podejrzanych, podaje na 12,235 cyfrę „ludu różnego", a zatym bez profesji i zajęcia, przy 89½ tysiącach ludności Warszawy (*Dziennik handlowy* z 1787 r.) i t. p.

Brak pracy wśród tych, którzy chcą i umieją pracować, nie jest przeto zjawiskiem wyłącznie nowoczesnym, a nawet twierdzić nie można, aby współczesne nam warunki późnego okresu kapitalizmu specjalnie go zaostrzyły. Właściwością raczej czasów naszych jest poszukiwanie korektywów, któreby następstwa jego złagodzić, jeżeli nie zneutralizować, potrafiły. Coraz głośniej bowiem masy ludowe dopominają się o zrealizowanie prawa do pracy, skoro praca stanowić ma ich stały udział w życiu społeczeństw, coraz umiejętniej organizują samopomoc, którąby w razie *niezawinionego bezrobocia* ochroniła robotnika od przejścia do kategorji ubogich na łasce dobroczynności publicznej.

Kwestja niezawinionego bezrobocia ma dziś już swoją ustaloną teorję, a pomoc społeczeństwa dla pracowników, którzy są nim dotknięci, poddaje się ogniowym próbom doświadczeń.

Polityka społeczna odróżnia kategorje niezdolnych do pracy, czy nie chcących pracować i—bezrobotnych, ofiary stosunków chwilowych, czy też ewolucji, jaką przechodzi kapitalistyczna gospodarka. Dla pierwszych istnieją ubezpieczenia na wypadek zniedołężnienia, domy przytułku, czy represje w postaci ustaw o włóczęgostwie i kar policyjnych. Drugich należy ratować, jako zdrowych członków społeczeństwa, którym brak pracy i zarobku grozi nędzą, niemocą fizyczną i przejściem w szeregi ubogich. Tylko tych drugich uznaje samopomoc organizacji robotniczych, a za jej przykładem dzisiejsi politycy społeczni za objekt pomocy, czy ubezpieczenia. Dla organizacji robotniczych są oni bowiem nietylko przedmiotem współczucia, ale groźnym niebezpieczeństwem obniżenia zarobków, pogorszenia warunków pracy. Dopomagając bezrobotnym, klasa robotnicza broni swojego ciężko zdobytego stanowiska w społeczeństwie, swojej godności ludzkiej, wysokości swej stopy życiowej. Armja rezerwowa pracy, gnana przez nędzę i głód, bez tej pomocy schodzi do kategorji żebraków, albo w dezorganizacji niszczy zdobycze walki klasowej z kapitałem.

Za bezrobotnego uchodzi dziś przeto robotnik, który w swoim zawodzie i na warunkach ustalonych bądź przez taryfy płac, bądź przez zwyczaj, w danej miejscowości przyjęty, zajęcia nie znajduje. Przyczyną bezrobocia są zatym zmiany techniczne produkcji, zaprowadzenie maszyny, zastępującej pracę ludzką, zmiany mody, brak pracy w przedsiębiorstwach sezonowych, jak rolnictwo, przemysł budowlany, — nieporozumienia z przedsiębiorcą bez winy robotnika, wreszcie kryzysy. Bezrobocia, wywołane przez strajki, stanowią odrębną, z góry przewidywaną kategorję, dla której istnieją specjalne kasy i fundusze. Tu już nietylko obrona klasy robotniczej przed mimowolnym współzawodnictwem bezrobotnych, ale chęć i konieczność popierania strajkujących zniewalają do udzielania pomocy. Strajk jest metodą walki, na którą specjalne środki obmyślać należy.

Najdokładniejszych cyfr co do liczby bezrobotnych dostarczyły dotąd robotnicze związki zawodowe, oraz specjalne spisy, dokonywane przez urzędy statystyczne w różnych miastach i krajach. Dopiero te cyfry wykazują jak olbrzymie zastępy stają się ofiarą przymusowego świętowania.

Spisy bezrobotnych, dokonywane w Niemczech w 1895 r. dały w czerwcu 179,004, a w grudniu 553,640 osób pozbawionych pracy. Bezrobocie zimowe jest przeto trzy razy cięższe od letniego. Spis bezrobotnych, przeprowadzony w Austrji jednocześnie ze spisem ludności w grudniu 1900 r., wykazał w Wiedniu 37 tys., w Pradze 7,094, we Lwowie 1,277, w Krakowie 542 osoby bez pracy. Obliczenia prowadzone wśród organizacji robotniczych we Włoszech wykazały osób bez pracy

| | | |
|---|---|---|
| w wielkim przemyśle | 40 | na tysiąc pracujących |
| w drobnym „ | 33 | „ „ |
| w handlu | 31 | „ „ |
| wśród służby domowej | 42 | „ „ |
| „ oficjalistów | 46 | „ „ |
| „ zawodów wyzwolon. | 43 | „ „ |
| „ osób bez okr. zawodu | 210 | „ „ |

Syndykaty francuskie podają cyfry 6 — 7 proc. robotników bez pracy, wskutek czego rząd wniósł do budżetu kredyt w sumie 100,000 franków dla zasilenia słabo rozwiniętych *caisses de chômage*.

Najdokładniejszych danych o liczbie bezrobotnych dostarczają za szereg lat *trade—uniony* angielskie. Na 1000 członków było bez pracy w 1888 r. 49, w 1900 — 29, w 1902 — 44 a w 1904 aż 65. Cyfry te nabierają specjalnej wymowy skoro zważymy, że chodzi tu o elitę robotników. Najlepiej zorganizowany i najsilniejszy *union* metalowców i robotników maszynowych wykazywał nawet wyższe cyfry robotników bez pracy (w 1902 r. — 55 a w 1904 — 84 na tysiąc). Bezrobocie trwało przeciętnie koło 15 dni, a najwyższe odsetki pozbawionych pracy przypadały na robotników powyżej 45 lat. *Uniony* notują wypadki bezrobocia trwającego do 12 tygodni, a w niektórych przemysłach na 1000 robotników liczono do 150 pozbawionych pracy.

Niestałość zajęcia dotyka przeto wszystkie kategorje zatrudnionych a, jak wykazują cyfry włoskie, cierpi przez nie także proletarjat umysłowy i biurowy. Dziś jednak nie znamy takiego systemu organizacji pracy, któraby niezawinionemu bezrobociu radykalnie mogła zapobiec, a jego ofiary, dochodzące do setek tysięcy, ograniczyć do nielicznych wyjątków. Postępy pośrednictwa pracy, które od prywatnych i nierzetelnych często pośredników przechodzi do stowarzyszeń, urzędów miejskich, gminnych i krajowych,niewątpliwie zmniejszyć muszą rozmiary złego. Zjawiska tak anormalne, jak występujący jednocześnie brak robotnika obok zastępów pozbawionych pracy, da się usunąć przy unormowaniu rynku pracy i dokładnej tegoż znajomości. Giełdy, jakimi są, czy być powinny, dobrze zorganizowane biura pośrednictwa pracy, mogą sprowadzić do minimum marnowanie sił ludzkich tak jak zmniejszyły bezużyteczne obroty towarów i unormowały ich produkcję i ceny. To też umiejętnie zorganizowane pośrednictwo w wyszukiwaniu zarobków stanowić musi podstawę każdej akcji, dążącej do pomocy niezawinionemu bezrobociu.

Poza tym zostanie przecież pewien procent bezrobotnych jako zjawisko nieuniknione, wynikające z istoty wytwórczości dzisiejszej, związane ze zmiennym i dążącym naprzód tempem współczesnego życia, z przyrostem ludności, z postępami techniki, z inercją wreszcie natury ludzkiej, która bezpośrednio od jednego do drugiego zajęcia przerzucić się nie potrafi. Wątpię nawet, czy zmiana systemu kapitalistycznego na współdzielczy, przedsiębiorstw prywatnych na gminne i państwowe radykalną poprawę, bez zahamowania postępów ekonomicznego życia—wprowadziłby tu mogła. Z tego powodu zapobieganie następstwom niezawinionego bezrobocia, konieczne jako korektyw stosunków współczesnych, stanowi jednocześnie pracę dla odległej przyszłości, dopełnienie organizacji pracy przez stworzenie środków na okres jej braku.

*D-r Z. Daszyńska-Golińska.*

# LITERATURA i SZTUKA.

*Edmund Zechenter:* **Z chłopskiej niwy.** Nowele. Kraków 1909. G. Gebethner i S-ka.

W przedmowie do tomu nowel p. Zechentera porusza Kazimierz Tetmajer bardzo ważną sprawę: stwierdza on fakt, że dopiero w ostatnim dwudziestoleciu „literatura chłopska, szczerze chłopska, uczyniła sobie miejsce pośród rodzajów literatury w Polsce", że nawet Słowacki, który „wszystko wyczuwał i wszystko przeczuł w literaturze, przeczuł także chłopa", ale tylko przeczuł. Natomiast „nie tknął go Zygmunt Krasiński, musnął go dobrotliwie w uświęconej, banalnej postaci „kmiotka" i to prawie niedostrzegalnie, w „Panu Tadeuszu" Mickiewicz", pominął go prawie zupełnie w „Trylogji" Sienkiewicz. Naogół zaś, dodaje Tetmajer, „do niedawna o chłopach pisało się tak, jak o koniach pisują członkowie ochrony zwierząt". Następnie dopiero zjawił się zastęp pisarzy, „którzy swoich chłopów zrównali z całą literaturą" i „poczęli dorównywać powieściopisarzom szlacheckim i mieszczańskim".

Na ten historyczny rys, trochę może pesymistycznie traktowany, zgodziłby się można, ale Tetmajer mówi dalej, iż pisarze chłopscy „nie zdobędą nigdy tej popularności, jaką daje powieść historyczna szlachecka, mieszczańska, lub współczesna społeczna, czy psychologiczna. A jeśliby się taką popularność zdobywać pragnęło, to trzebaby robić ofiarę z chłopstwa w chłopskiej powieści", gdyż chłopstwo to jest „nieprzestąpionym progiem" dla popularności książki".

Tetmajer motywuje tu swój pogląd tym, iż „naprzód nikt nie jest obowiązany znać djalektu chłopskiego, a potym tych djalektów jest mnóstwo, odmian tysiące". Mówi, że „gdyby Sienkiewicz nie był modernizował języka swoich rycerzy z XVII go wieku, jego Trylogja byłaby dziełem szacownym, nie uwielbianym" i kończy, iż „pisać niestylizowaną, nieuprzystępnioną gwarą chłopską, to jest pisać naprzekór publiczności".

Z tym wnioskiem zgodzić się trudno. By rozumieć gwarę, niekoniecznie trzeba ją znać. Dla cudzoziemca, którypy się nauczył polskiej mowy, djalekt mógłby być rzeczywiście tym nieprzestąpionym progiem, tak jak dla nas patois francuskie, czy djalekty niemieckie lub włoskie; kto jednak nietylko zna polski język, ale myśli nim, dla kogo jest on językiem ojczystym, temu dwie stronice książki wystarczą, by się wżyć w pewną gwarę, rozumieć ją a nawet wyczuwać urok charakterystycznych zwrotów, czy dźwiękowych różnic wymowy. W Niemczech i we Włoszech, gdzie djalekty daleko ważniejszą odgrywają rolę, bo są one niemal że właściwym językiem ojczystym, którym posługują się nawet klasy oświecone, różnice między poszczególnymi gwarami są daleko znaczniejsze, a pomimo to Niemiec czy Włoch nie potrzebuje się uciekać do tłumaczów w stosunkach z rodakami z innych prowincji. Rozmaite Berner-dütsch'e i Züri-dütsch'e, czy narzecza włoskie, jak milanese, genese, czy napolitano, posiadają swą własną literaturę, własną poezję, własne teatry, a znaczenie tych pisarzów zależy przedewszystkim od wartości ich utworów i, gdy jedni dorastają zaledwie do poziomu słów lokalnych, inni, jak naprzykład Gotfryd Keller, wybijają się na naczelne miejsca w pośród wieszczów całej nacji w najszerszym tego słowa znaczeniu.

Zresztą i u nas nawet, gdzie zwrot ku gwarze jest zjawiskiem stosunkowo nowym, fakta zdają się przeczyć wywodom Tetmajera, jestem bowiem przekonany, że do popularności Reymonta naprz. więcej przyczynili się jego „Chłopi", niż „Komedjantka" lub „Fermenty" i to nawet nie w oczach znawców, ale tej szerokiej publiczności, która to dopiero stanowi o popularności danego dzieła, czy autora.

Prócz tego gwary nasze stosunkowo dość mało różnią się od języka literackiego, pierwiastki bowiem wyrazów pozostają najczęściej te same i zmienia się tylko ich pisownia, gdy autor stara się oddać charakterystyczne brzmienia wymowy. Najtrudniejszy utwór polski pisany gwarą, jaki znam, to „Legiendy" Czesława Chodorowskiego, ale trudność polega tu jedynie na odcyfrowywaniu tych zbyt ozdobnie drukowanych i z przesadną starannością o oddanie brzmienia każdego dźwięku notowanych wyrazów. Oto przykład, wyjęty bez wszelkiego rozmysłu: „Nie zaźro do nos... nie poglundo, słowem bozym nie pochwalo, czynsto zaworco, zymbami zgrzytno, na uczciwość nastumpio".

W luźnym urywku, czy tomie, tych kilka zdań stanowić może zapewne niejaką trudność, dość jednak

oswoić się z tą pisownią, a oko samo zacznie poznawać wyrazy.

To wszystko pozwala mi sądzić, że używanie gwary nie jest tak wielkim poświęceniem ze strony autora, z drugiej zaś strony—zmieniony stosunek pisarza do chłopa, poniechanie śmiesznej metody idealizowania go zdaje mi się taką koniecznością, że nietylko nie może ono wyjść na złe literaturze chłopskiej i jej przedstawicielom, ale, przeciwnie, stanowi główną jej wartość i piękno.

Dlatego też nie widzę żadnej racji, by literatura chłopska potrzebowała usunąć się za szańce rezygnacji i skromną budować sobie kapliczkę, by miała tworzyć z siebie jakąś odmienną literaturę *à côté* Dożyła ona obecnie chwili bujnego rozkwitu, wydała dzieła tęgie i trwałe, błyszczy takimi nazwiskami jak Witkiewicza, Reymonta, Orkana, a przedewszystkim samego autora tych pesymistycznych uwag, z którymi polemizowałem, i ma prawo wszelkie do jak najszerszego uznania.

To samo dałoby się powiedzieć o utworach p. Zechentera, którego Tetmajer smutnymi słowy pasuje na rycerza, mówiąc mu, iż rzeczy szczerze chłopskie wydaje się właściwie tylko dla własnej przyjemności, bo oceni je zaledwie garść znawców i zawodowców literatury, bo nawet utwory wysokiej wartości stają się w tej dziedzinie „szacowną" rzeczą, zdobywają sobie succès d'estime jedynie. Tymczasem sprawa przedstawia się o wiele prościej. P. Zechenter posiada talent i nie widzę żadnej przeszkody, by książka jego nie mogła mu dać tego wszystkiego, co jedna dobra książka jest w stanie dać jej autorowi. Powiem nawet więcej: niektóre nowele p. Zechentera, jak naprz. „Kwiatuła", posiadają pierwiastki, które zapewnić im mogą bardzo szerokie powodzenie, posiadają pewien sentymencik. W innych znów, jak w „Sobku Kulasie", jest humor niefrasobliwy. Język w tych opowiadaniach jest wytworny, a gwara, choć się przebija chwilami wyraźniej jakimś charakterystycznym wyrażeniem, zwrotem, czy brzmieniem form lub wyrazów, robi raczej wrażenie pieszczonej mowy. Jeśliby więc literatura chłopska miała przed sobą jeszcze jakiś bój do stoczenia, jakąś niechęć do przełamania poza ogólną apatją i wycieńczeniem obecnej chwili, to główny napór jej przeciwników zwróci się napewno przeciw bardziej zdecydowanym i bardziej po junacku na czoło wysuniętym pozycjom, niż ta, którą zajmuje p. Zechenter.

*Stefan Gacki.*

## Album artystyczne „Świata".

Zapowiedziane przez redakcję *Świata* zamiast numeru jubileuszowego album artystyczne, poświęcone Juljuszowi Słowackiemu, wyszło obecnie z druku i przedstawia się bardzo okazale. Zdobi je efektowna okładka, wykonana przez artystę malarza, Władysława Wankiego, a składają się na nie prace wybitnych artystów naszych, treścią lub tematem swym związane z imieniem i duchową puścizną nieśmiertelnego wieszcza. Znajdujemy tu więc przedewszystkim reprodukcję „Śmierci Elenai" Jacka Malczewskiego i „Córki króla Lecha" według mało znanego rysunku Artura Grottgera, „Zamordowaną Alinę" Wyczółkowskiego i fantazję Władysława Wankiego, zatytułowaną: „Smutno mi, Boże!" i przedstawiającą „kontrast głębokosmutnej zadumy poety i otaczającej go wspaniałości barw i blasków, rozlanych po bezkreśnym widnokręgu".

Wreszcie dwa portrety Słowackiego uzupełniają wydawnictwo. Ale o nich należałoby pomówić obszerniej. Słowacki nie posiada dotąd portretu i nie dał go nam ani rok jubileuszowy, ani wszystkie dotychczasowe konkursy. Z dwuch reprodukcji zamieszczonych w albumie *Świata*, pierwsza z olejnego portretu Juljusza Zubera chce być li tylko ścisłą podobizną, historycznie wiernym odbiciem rysów portretowanego, ale jest zbyt przejaskrawioną, twardą w rysunku, kanciastą, nieprzyjemną bryłą i jeśli przyjmiemy za miarę wizerunki poety, które po nim zostały, podobieństwo nie zdaje mi się tu być zupełnie trafnie uchwyconym, a wyraz, czy raczej jego brak w portrecie p. Zubera przykre robi wrażenie.

Szymanowski natomiast, jak mówi w przedmowie p. A. Ch., chciał dać „portret — stylizację, którego rysy winny odpowiadać tym idealnym wyobrażeniom, jakie sobie naród wyrabia z biegem czasu o swoich wielkich ludziach. Są to portrety raczej duchowe, niż cielesne, w których się syntetycznie zamyka to, co było najistotniejszym w danej postaci, a w których fizyczne rysy stanowią tylko rodzaj kanwy, użytej przez artystę będącego w chwili tworzenia plastycznym tłumaczem wyobrażeń, żyjących w narodzie". Ale trudno się jest zgodzić z Szymanowskim na jego pojmowanie Słowackiego. Ta zgrabna główka ze starannie rozczesanymi włosami, mięsiste usta i to spojrzenie, z którego bije tylko bezbrzeżna duma i niema w nim nic z tej głębokiej pokory i ciszy, nic z tej „siły fatalnej," co nas do dziś „gryzie niewidzialna", słabe dają wyobrażenie o autorze „Króla—Ducha". By dać narodowi syntetyczną podobiznę naszego wieszcza nad wieszcze, trzebaby ją wyolbrzymić w jakiś potężny kształt, który odpowiadałby duchowej wielkości Słowackiego; trzebaby go pojąć przynajmniej tak, jak Rodin pojął swego Balzaca lub Victora Hugo.

*St. G.*

# Z Zachęty

## Narodowość w Sztuce.

Masłowski, Ryszkiewicz, Nawrocki, Pilichowski, Eisenberg.

Każda sztuka jest wtedy żywotną, gdy wyrasta na gruncie narodowym, gdy zeń czerpie swe soki, gdy, związana z życiem – wyraża jego wszelkie objawy, tak odmienne u różnych narodów, a więc jest to wtedy sztuka swojska, sztuka oryginalna, która w ogólnym zespole sztuk wszystkich narodów zajmuje sobie właściwe, odrębne miejsce, tworząc jednak ze wszystkimi innymi jednolitą całość.

Tak odrębnie, oryginalnie, a więc swojsko wyrobiła się sztuka u wszystkich narodów europejskich, pomimo iż powstawała i kształciła się pod wpływem sztuki najbardziej silnej i najbardziej oryginalnej, bo sztuki francuskiej. Umiejętność korzystania z obcego wpływu, przetrawiwszy go doszczętnie, zawsze dodatnio wpływa na rozwój sztuki i wcale nie odbiera jej oryginalności; rzecz się ma jednak przeciwnie ze sztuką, która wpływom obcym tak silnie podlega, iż ich przetrawić nie może, nabiera więc przez to charakteru obcego, a jakkolwiek może nawet być dosyć interesującą, nie jest już oryginalną i narodową.

Zdawało się, iż młoda sztuka polska pójdzie również drogą narodowego rozwoju, a było to przed trzydziestu paru laty, gdy w Warszawie, pod kierunkiem Gersona, grono jego uczniów poczęło czerpać tematy z życia ludu, zwróciwszy się również ku krajobrazowi swojskiemu. Chełmoński, Masłowski, Witkiewicz, Ryszkiewicz i kilku innych, byli pionjerami tego kierunku i pozostali mu wierni dotychczas. Młodsza jednak generacja artystów, kształcąc się poza granicami kraju, ulegała zbyt łatwo wpływom monachijskim, paryskim, a nawet i petersburskim, a uległa im tak silnie, iż wpływów tych przerobić w sobie nie mogła, i, co za tym idzie, rozwój jej talentu poszedł po różnych drogach, lecz nie po swojskiej, naszej. Z tej przyczyny posiadamy bardzo uzdolnionych artystów, dosyć interesującą sztuką, ale nie jednolitą i nie posiadającą cech nam właściwych.

Oto — wystawione obecnie w salonach Zachęty prace wykazują nam trzy zupełnie różne kierunki w sztuce, wzajem się wykluczające.

Piękne akwarele Masłowskiego, w których tyle światła i powietrza oraz żywych barw, posiadają wszystkie cechy właściwe naszemu krajobrazowi. Prace te reprezentują więc kierunek swojski, jak również efektowny obraz Ryszkiewicza, zatytułowany: „Pochód nocny".

Nic za to polskiego nie wyczuwamy w pracach p. Nawrockiego. Artysta ten zyskał sobie uznanie w pewnych sferach zagranicą, wykonywał portrety na dworze włoskim, jak również podobizny najrozmaitszych przedstawicieli świata literackiego, artystycznego Włoch i Francji; artysta, posiadający sobie właściwą, dość dobrze wyrobioną technikę, ale chłodny, bez temperamentu, wystawił szereg prac, które nas mało interesować mogą z powodu tematów nam obcych, a które przytym nieciekawie obrobił. Pan Nawrocki jest u nas przedstawicielem jakiejś sztuki międzynarodowej, bez określonego wyraźnie charakteru.

Zupełnie co innego widzimy w pracach pp. Pilichowskiego i Eisenberga. Są one pełne charakteru oraz posiadają wybitne cechy narodowe—ale nie nasze, tylko żydowskie.

Najpierwsi u nas artyści żydzi, Lesser i Riedlich w pracach swoich zaznaczali, iż są Polakami. Malowali i rytowali tylko sceny z życia naszego i naszej historji. Jednak już Gottlieb Maurycy poczyna w pracach swych zaznaczać swe żydowskie pochodzenie, ale jeszcze nie zupełnie jasno i stanowczo, kokietuje nawet chrystjanizm. Hirszenberg Samuel już jest więcej żydem, ale chwieje się potrosze, staje się bardziej stanowczym w ostatnich latach życia swego, i wtedy jedzie do Jerozolimy, aby tam stanąć na czele żydowskiej artystycznej uczelni. Jasno i stanowczo jako żyd występuje już Minkowski, i jak fotograf utrwala na swych płótnach sceny z okrutnych pogromów, urządzanych przez motłoch czarno-secinny. Pilichowski na początku swej karjery artystycznej poruszał tematy o podłożu socjalistycznym, z życia robotników, obecnie jednak, pod wpływem coraz bardziej rozwijającego się prądu nacjonalistycznego u Żydów, obrabia tematy tylko żydowskie, jak również i Eisenberg w swoich rzeźbach.

*Wincenty Trojanowski.*

# Z MUZYKI.



(„Tristan i Izolda" akt II; koncerty symfoniczne i historyczno-popularne. Z życia muzyków. — Z opery.)

Usłyszeliśmy z estrady Filharmonji drugi akt „Tristana i Izoldy" z udziałem solistów. Oczywiście — wolelibyśmy posłyszeć Wagnera na scenie — ale... tymczasem — miłośnicy nowej muzyki muszą być wdzięczni p. Fitelbergowi za sumienne traktowanie pierwszej w kraju estrady koncertowej. Nie mając w swym rozporządzeniu efektów scenicznych — dał słuchaczom oprócz muzyki — *słowo*. Wagnera nie dość słuchać: trzeba koniecznie *widzieć* plastyczną stronę uzmysłowienia jego *baśni*. Wypadki, obrazowane barwą, słowem, akcją, muszą bezpośrednio estetycznie hipnotyzować duszę, wykrzesać z niej odczucie grozy wobec fatalistycznych skutków budzącej się pod wpływem napoju miłosnego—żywiołowej miłości Tristana i Izoldy. Tu *gra* artystów przeważa nad muzyką, koloryzującą symbolicznie przemiany psychiczne dwojga... W poetycznym symbolu Napoju Miłosnego, rodzącego Śmierć, Wagner wyraził genezę miłości, tajemniczy jej wybuch, przejście z krainy złudy w stan pewnej samowiedzy. „Eros, powiada znany komentator Wagnera — Schüre, — płomienny i straszny bóg, ukazując się gdzieindziej tylko chwilami, gorejącą swą pochodnią wypełnił ten dramat cały".

Wysokie napięcie tonu rozegzaltowanej miłości, przemawiającej wszystkimi środkami palety Wagnera — wymaga wielkiego skupienia się widza - słuchacza i wyjątkowej literacko-muzycznej kultury. Słusznie więc powiedział o tym dramacie wymieniony przed chwilą Schüre — że „rozważając to dzieło, widzimy dwie alternatywy: trzeba je albo podziwiać, albo odrzucić w zupełności. Jeżeli porwie nas z początku, śledzić je będziemy do końca, jeżeli zaś nie zrozumiemy — pozostanie martwą literą". Pan Fitelberg nie zraził się jednak trudnością zadania i nie żałował pracy dla dwukrotnego wykonania arcydzieła przed kulturalną garstką publiczności warszawskiej. Połowa wypełniła salę prawdopodobnie *z ciekawości*, ale połowa witała akt drugi z entuzjazmem. Pomimo bowiem ogołocenia dzieła z uroku plastyki scenicznej, pozostało w nim jeszcze tyle piękna muzycznego, że można go słuchać i słuchać bez końca...

„Płyną melodje i harmonje, podobne do głębokiej, wzburzonej rzeki, która to podnosi się ku brzegom, to pieni się na skałach podwodnych, to roztacza się nad niezmierzoną powierzchnią, to leci nakształt ryczącej katarakty—by skonać w ostatnim śpiewie Izoldy w ciszy i majestacie Oceanu". (Schüre). Oddanie owego „płynięcia melodji", akcentów żywiołowej mocy, cudownych modulacji i wiecznie świeżych pomysłów harmonicznych—pomimo pewnej nieśmiałości orkiestry i względnie niedostatecznego jeszcze opracowania—było wogóle wysoce poprawne, a w poszczególnych ustępach doskonałe. Soliści również dobrze wywiązali się z zadania, z wyjątkiem p. Brumeistra (Tristana), któremu właściwie nie warto nawet poświęcać słowa uwagi. Nie odczuliśmy ani jednej gorącej skry w tej wulkanicznej partji... Zresztą... nie wiem nawet — czy śpiewak utracił głos, czy... może nie chciał śpiewać...

Pomimo, że część sali słuchała pomienionego utworu z pewnym znużeniem, wysiłkiem, po skończeniu — spadł na orkiestrę i Fitelberga huragan owacji.

Cały szereg koncertów ubiegłych trzech tygodni — przekonał mnie, *że się rozpoczął wspaniały, na europejską miarę sezon muzyczny, jakiego nigdy dotąd Warszawa nie miała.* Każdy koncert stanowi pewną sharmonizowaną całość. Mamy więc wieczory muzyki skandynawskiej, romantycznej, klasycznej, i t. d. Z wymienionych, szczególniej dwa wyróżnić należy wieczory: muzyki skandynawskiej (dyr. Opieński) i 3 ci symfoniczny, na którym obok „Egmonta" i Symfonji Berlioza poznaliśmy wspaniały poemat muzyczny Rachmaninowa: „Wyspa śmierci". Pomimo jednostajnego tematu, pozornie monotonnego—całość wywiera artystyczne wrażenie bogactwem kolorytu i oryginalną, rzadko używaną rytmiką na $^5/_8$. Trzymanie się przez cały czas w dysonansie nie nuży z powodu niezrównanej instrumentacji i pięknych enharmonji. Na wieczorze skandynawskim pan Opieński ujawnił większą pewność siebie,—brak mu tylko temperamentu. Przypuszczam,że lepsze z czasem owładnięcie partycją, nabycie wprawy — natchną go pewnością i zapałem, który zacznie udzielać się i orkiestrze.

Opera spółki artystów — ściąga dużo słuchaczy. Wykonanie (Toski, Pajaców, Ryc. wieśniaczej) nadspodziewanie jest staranne. Orkiestra bardzo dobrze wywiązuje się z zadania. Zaproszona na występy gościnne p. Ixo jest świetną aktorką dramatyczną, posiada ładny, o dobrej szkole głos.

Sądząc z dobrych początków — powodzenie będzie towarzyszyło spółce. Tylko — trzeba dać conajrychlej parę premjer!

*Antoni Miller.*

# Przegląd polityki zagranicznej.

Wzorem swych zwycięzców z r. 1895 Chiny od lat kilku weszły na drogę wielkich reform polityczno-państwowych. Za moment przełomowy w tym względzie należy uznać okres wojny rosyjsko-japońskiej. W narodzie, dotychczas tak bezwzględnie poniewieranym i rabowanym przez europejczyków w granicach swego własnego państwa, świetne zwycięstwa japończyków nad przedstawicielami rasy białej musiały z konieczności wywołać bardzo głębokie i daleko sięgające przeobrażenia moralne i silny pęd ku odrodzeniu i odbudowaniu zmurszałej państwowości własnej. Jest to objaw zupełnie naturalny: chińczycy byli zbyt blizkimi obserwatorami wypadków, które wobec ich bezsilności rozgrywały się na ich terytojum państwowym, by wypadki te pozostały dla nich niezrozumiałe i obojętne. Chiny przyglądały się z wielką uwagą pojedynkowi rosyjsko-japońskiemu i wkrótce po zawarciu pokoju w Portsmouth wysłały do Europy delegację, złożoną z najwybitniejszych mężów stanu, celem zbadania „warunków politycznych i systemów polityki rządowej w innych krajach". Owocem owej wędrówki delegacji, która powróciła do Chin w lecie r. 1906-go, był treściwy memorjał polityczny, w którym gorąco zalecano Cesarzowi zaprowadzenie rządów konstytucyjnych, jako nieodzownego warunku pomyślności i siły państwa. Memorjał przyjęty został nader życzliwie przez Cesarza i sfery rządowe. Jesienią tegoż roku wydany był edykt cesarski, który zapowiadał zmianę systemu rządów, rewizję ustaw sądowych, uporządkowanie finansów, reformę armji i marynarki oraz zaprowadzenie w blizkiej przyszłości rządów konstytucyjnych. W roku następnym zapowiedź ta parokrotnie potwierdzona została uroczyście przez tron. Nadto zorganizowano komitet ministrów celem opracowania zasad konstytucji, oraz powołano do pomocy ministrom komitety, złożone z przedstawicieli ludności. Dalszym krokiem w rozwoju reform państwowych było ustanowienie w roku 1908-ym rad prowincjonalnych i ogłoszenie ogólnych podstaw przyszłych rządów konstytucyjnych wraz z wyszczególnieniem na kilka lat najbliższych wszystkich niezbędnych reform przedwstępnych. Według tego planu całkowite zakończenie reform konstytucyjnych nastąpić ma w r. 1917-ym, kiedy będą otwarte izby wyższa i niższa oraz będzie mianowany prezes gabinetu ministrów. By przygotować ludność do rządów konstytucyjnych i pracy prawodawczej powołano właśnie rady prowincjonalne, które już rozpoczęły swe czynności z dniem 14-go października r. b. Data ta stanowi niewątpliwie początek nowej ery w dziejach państwa Niebieskiego.

Jako stopień przygotowawczy do życia konstytucyjnego, rady prowincjonalne mają charakter nie ściśle prawodawczy, lecz informacyjno-doradczy. Członkowie rad są wybierani przez ludność na podstawie bardzo demokratycznego prawa wyborczego; najpoważniejsze ograniczenia wyborcze dotyczą osób, palących opium. Ilość członków rad w poszczególnych prowincjach państwa waha się od 100 do 140.

Powołaniem rad prowincjonalnych rząd chiński jeszcze raz stwierdził zupełną szczerość swych dążeń konstytucyjnych. Nie można mu brać za złe wprowadzanie konstytucji „ratami". Wobec zupełnego rozkładu starej machiny państwowej, wobec zgnilizny moralnej organów rządowych i powszechnej demoralizacji ludności, znieprawianej przez ucisk i samowolę urzędników, okres przejściowy, przedkonstytucyjny, skupiający dokoła spraw państwowych, tępione dotychczas, inicjatywę i instynkty społeczne ludności, — wydaje się być środkiem bardzo rozumnym i celowym. Zbyt szybkie przejście od dotychczasowego systemu rządów do ustroju konstytucyjnego, zwłaszcza w państwie tak olbrzymim jak Chiny, mogłoby — jak to świadczy smutny przykład współczesnej Persji — wywołać bardzo niebezpieczne dla państwa tarcia i wstrząśnienia wewnętrzne. Chiny wzorują się w danym wypadku na Japonji, która przed 30-tu mniej więcej laty przechodziła w swym rozwoju państwowym wszystkie stadja, w których się objawia obecnie ruch konstytucyjny w Chinach.

Niema też obaw narazie, by zamierzenia centralnego rządu chińskiego zostały zwichnięte niechęcią i tajnym przeciwdziałaniem władz lokalnych. Rząd chiński nie wzoruje się w danym wypadku na rządzie rosyjskim i ma dość siły i woli, by spełniać wszystkie swe przyrzeczenia i zobowiązania moralne, zaciągnięte przed ludnością, nie toleruje też najmniejszego przeciwdziałania ze strony swych urzędników i wszystkich niezgodnych z jego intencjami reformatorskimi natychmiastowo usuwa. Przed paru tygodniami zaledwie, został usunięty jeden z gubernatorów południowych, który się odważył wystąpić z niewłaściwą krytyką konstytującej się rady prowincjonalnej. Obok rozpoczętych reform politycznych nie zaniechał rząd chiński wysiłków dokoła gospodarczego podniesienia kraju, reorganizacji finansów i armji. Zwłaszcza w zakresie militarnym ujawnia się postęp tak znaczny i stanowczy, że zaczyna budzić żywy niepokój sąsiadów, a przedewszystkim Rosji, która od stulecia blizko rozszerzała kosztem Chin swe posiadłości na Wschodzie. Podnosząc obronę państwową, Chiny w pierwszym rzędzie dążą do zabezpieczenia swej granicy północnej — wznoszą fortyfikacje, wzmacniają załogi i posterunki, budują koleje żelazne. Jednym słowem, na wszystkich polach życia państwowego Chin widzimy głębokie ślady dokonywującego się odrodzenia narodowego. W związku z tym należy się spodziewać, że już w blizkiej przyszłości równowaga polityczna, zachwiana dotąd tylko na Dalekim Wschodzie, rozszerzy się i na Azję środkową i zmusi Rosję do bardzo poważnego zabezpieczenia całej swej olbrzymiej linji granicznej syberyjskiej. Pociągnie to za sobą wielkie przeobrażenia w układzie stosunków politycznych wśród państw europejskich.

* * *

Pod obrady parlamentu francuskiego weszła nareszcie sprawa reformy wyborczej, od tylu lat „spychana" z porządku dziennego przez radykałów. Dotychczasowy system głosowania w małych okręgach wyborczych zbyt uzależniał deputowanych od szczupłej garstki wyborców; poseł do parlamentu był nietyle przedstawicielem całej Francji, ile raczej obrońcą drobnych interesów lokalnych. Wyborcy głosowali zazwyczaj nie na przedstawicieli tych lub innych kierunków politycznych, lecz na osoby ustosunkowane, mające wpływy w sferach rządowych. System ten odbijał się bardzo szkodliwie zarówno na administracji francuskiej, jak i na parlamencie, w którym wielka Francja bardzo często ginęła w powodzi małych okręgów wyborczych.

Nienormalność i szkodliwość systemu obecnego uznali oddawna najwybitniejsi przedstawiciele wszystkich stronnictw politycznych i pragną zapobiec złemu wprowadzeniem wyborów z większych okręgów wyborczych (departamentów) głosowaniem na całą listę kandydatów oraz proporcjonalnym podziałem mandatów, któryby odtwarzał istotny stosunek sił politycznych w kraju. Pomimo to dotychczasowa radykalna większość parlamentarna, uznając w zasadzie potrzebę reformy, zwlekała pod tym lub innym pretekstem jej przeprowadzenie z pobudek nawskroś egoistycznych. Ostatni zjazd radykalistów w Nantes również wypowiedział się przeciw załatwieniu reformy w sesji bieżącej, rzekomo ze względu na koniec kadencji prawodawczej parlamentu i nadchodzące wybory ogólne, w rzeczywistości zaś dlatego, „że obecny system wyborczy jest bardzo pomyślny dla radykalistów, i byłoby nierozsądnie przyśpieszać jego upadek" — jak oświadczył na zjeździe jeden z przywódców.

Jednakże socjaliści, którzy reformę wyborczą uważają za warunek *sine qua non* zamierzonych doniosłych reform administracyjnych i socjalnych, znów zażądali stanowczo załatwienia roformy w sesji bieżącej; poparli ich klerykali i nacjonaliści i sprawa, pomimo oporu radykalistów, ostatecznie weszła na porządek dzienny.

Przebieg obrad zdawał się wróżyć pomyślne załatwienie sprawy dla zwolenników reformy. Za reformą wyborczą wypowiedziała się znaczna większość Izby i przy debatach szczegółowych zostały przyjęte wszystkie najważniejsze artykuły projektu — wtym, gwałtowny protest Briand'a i postawienie kwestji zaufania do rządu rozchwiały w oka mgnieniu dotychczasową większość. Izba przestraszyła się „utraty" obecnego prezesa ministrów i wyraziwszy rządowi *votum zaufania* odrzuciła przyjęte poprzednio artykuły projektu.

Radykaliści zwyciężyli narazie; czy nadługo — pokażą najbliższe wybory do parlamentu. Sprawa reformy wyborczej stała się we Francji bardzo popularną w ostatnich czasach i obecne „zwycięstwo" Briand'a prasa i op nja publiczna powitała naogół bardzo nieprzychylnie.

---

Wobec częstych zapytań z prowincji o wskazanie prelegientów, Redakcja *Prawdy* uprosiła grono osób o podanie tematów, na któreby chciały wygłosić w najbliższym czasie odczyty. Na każde żądanie redakcja nasza wysyła spis prelegientów i tematów wraz z określeniem warunków.

---

Wieczór Grieg'a odbędzie się w wielkiej sali Filharmonji w dniu 1 grudnia — urządzony staraniem Stowarzyszenia kobiet pracujących umysłowo. Program obejmie wiele nieznanych kompozycji znakomitego norweskiego muzyka.

# KRONIKA.

— Większość sędziów i ławników skazanych wyrokiem Izby Sądowej na pozbawienie praw służbowych oraz wszyscy skazani na więzienie założyli kasację do Senatu.

— Agiencja petersburska donosi, że ambasador japoński, bar. Montono, otrzymawszy wiadomość o ciężkiej chorobie swego ojca, wyjechał wraz z żoną przez Syberję do Japonji — na czas jak najkrótszy. Przeczy zarazem, by wyjazd ten był w związku z jakimikolwiek komplikacjami między Rosją i Japonją i dodaje, że japońska komisja wojskowa również opuściła Petersburg. Nie dodaje jednak, czy i tę dotknęła jakaś choroba w rodzinie.

— Znany ekonomista francuski Leroy-Beaulieu w rozprawie swojej „La dépopulation de la France" maluje w barwach jaskrawych rozmiary, jakimi wyludnienie grozi Francji w przyszłości niedalekiej. Sięgając po dane statystyczne do epoki 2-go Cesarstwa, stwierdza nieproporcjonalnie zwiększający się procent śmiertelności do obniżającego się rok rocznie procentu narodzin i dochodzi do wniosku, że z końcem XX w ludność Francji spadnie do 30 miljonów,zaś z końcem następnego wieku—do 20 milj. Rozpatrując przyczyny tego smutnego dla kraju stanu rzeczy, p. L. Beaulieu „objaśnia", że 1 o: opinja demokratyczna i ultrademokratyczna była zawsze przychylną redukcji urodzin, — 2-im zaś powodem jest coraz silniej akcentujące się rozluźnienie tradycji religijnych, dosłownie: „dzika wojna, prowadzona bez przerwy przez władze przeciw wierzeniom religijnym". Skutkiem tego nastąpił powrót do poganizmu, do życia wolnego od trosk i kłopotów, a w ślad za tym idzie konsekwentnie — dobrowolna depopulacja.

— W głosowaniu przy wyborach do prezydjum Dumy usunęli się od głosowania: grupa pracy, partja kadetów i socjal.-demokraci. Mówcy tych frakcji, Petrow, Milukow i Gegeczkory motywowali krok swój decyzję przyjętą przez większość parlamentarną odrzucenia udziału przedstawicieli opozycji w prezydjum. 219 głosami na 337 głosujących, Chomiakow został obrany prezesem.

— D. 8 go b. m. staraniem Związku studentów czeskich w Pradze obchodzono 500 letnią rocznicę rektoratu Jana Husa w uniwersytecie praskim. W uroczystym zebraniu brali udział rektorowie uniwersytetu i politechniki z licznie reprezentowanym ciałem profesorskim.

— W trzebieniu uczuć narodowych ludu słowackiego przez rząd madziarski niepospolite usługi oddaje Kościół w osobach wielu, zagorzałych w służbie rządowej, swoich zwierzchników. Szczególną gorliwością odznacza się biskup bystrzycki Radnaï Farkos, który z całą bezwzględnością tępi w duchownych swej djecezji wszelkie ideje patryjotyzmu słowackiego, odrębności kulturalnej i wszelki w tym kierunku przejaw najszlachetniejszej pracy plebanów śród ludu, niemiłych sobie „niebezpiecznych działaczy" usuwając ze stanowisk. Język słowacki, przysługujący dotąd w nauce religji w szkółkach parafjalnych, wyznaniowych, niezależnych od rządu, apostolskim rozporządzeniem wyrugował, zastępując go węgierskim. Zastał łacinę jako język urzędowy swej djecezji — zaprowadził urzędowanie madziarskie. Święto Cyryla i Metodego przełożył samowolnie w kalendarzu djacezjalnym w ten sposób, aby było „zdegradowane" w oczach ludu. Biskup ten jest prezesem Górnowęgierskiego Tow. Oświaty, założonego przez rząd za skonfiskowany majątek dawnej *Macierzy Słowackiej.*

— D. 11 b. m. odbył się w Krakowie wiec młodych malarzy-studentów w sprawie niedomagań krakowskiej Akademji sztuk pięknych. Po burzliwych rozprawach zapadła uchwała, iż wobec stałego ignorowania przez rząd postulatów Akademji — studenci rozpoczynają strajk. Jakoż nazajutrz sale wykładowe świeciły pustkami, a solidarności nie złamano na żadnym kursie.

— Sejm finlandzki w głosowaniu próbnym nad żądaniem wypłacenia 20 miljonów marek skarbowi państwa za uwolnienie Finlandji od powinności wojskowej powziął uchwałę odmowną 151 głosami przeciwko 49 głosom starofinów, którzy takie stanowisko uważają za błąd poważny, narażający kraj na ciężkie doświadczenia w najbliższej przyszłości.

— W tych dniach zamknięty został w Petersburgu zjazd delegatek od wolnych słuchaczek 6 uniwersytetów państwowych. Zjazd postanowił zwrócić się do Dumy jeszcze przed wzięciem pod obrady nowej ustawy uniwersyteckiej — z prośbą o przyznanie wolnym słuchaczkom prawa zdawania egzaminów państwowych w komisjach egzaminacyjnych przy uniwersytetach. Dumska frakcja październikowców obiecała swoje poparcie — o ile nie zechce sprawy tej rozstrzygnąć samodzielnie minister oświaty, Schwartz.

— *Neue freie Presse* zapowiada, że gabinet Bienertha otrzyma dymisję jeszcze w ciągu bieżącego tygodnia. Utworzony ma być prowizoryczny gabinet urzędniczy, wobec czego parlament będzie mógł podjąć normalną pracę.

— Dokonany przez spiskowców hinduskich zamach na wicekróla Indji, hr. Minto, w Achmadabadzie, zaniepokoił angielskie sfery polityczne. Lord Minto ocalał, ale zamach, dokonany w dniu ogłoszenia nowej ustawy o ustroju administracyjnym w Cesarstwie Indyjskim -- wskazuje na głęboko rozgałęzioną agitację rewolucyjną „Synów Sziwy" — sprzysiężenia, którego środkiem działania jest usunięcie wszystkich wpływowych urzędników rządu brytyjsko-indyjskiego, a celem — wyzwolenie Indji.

— Gabinet Brianda zachwiany; w prasie paryskiej pojawiają się przypuszczenia rychłej zmiany gabinetu. Opozycja agituje przeciwko stanowisku Brianda, lekceważącemu radykalną większość i odmawiającemu wszelkich ustępstw osobistych dla przeciwników. Podczas rozpraw nad budżetem zamierza on jaskrawo podkreślić obowiązki rządu. Istnieje przekonanie, że w razie upadku Brianda Clémenceau stanie znowu na czele rządów.

---

Do numeru niniejszego dołączamy prospekt *Sfinksa.*

# OGŁOSZENIA.




**Prenumerata „Prawdy"** (wraz z bezpłatnym dodatkiem):
**W Warszawie:** miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rb. **2**, rocznie rb. **8**, z odnoszeniem do domu.
**przesyłką pocztową** do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. **2** kop. **50** rocznie rb. **10.**

**Za zmianę adresu** dopłaca się 20 kop.

**Sekretarz redakcji** przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 5 — 7 pp.

**Rękopisów nie odsyła się.** Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. R kopisy drobne nie zwracają się.

**Korespondencji** nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

**Ogłoszenia** wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

**Przedpłatę przyjmują:** Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

**Sprzedaż pojedyńczych numerów** po kop. **20** w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

**Administracja otwarta codziennie,** z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 2 i od 4 do 7 pp.



TREŚĆ: POLITYKA I ŻYCIE SPOŁECZNE: Obrońcy Ghetta. — Polityka dworska, przez I. Moszczeńską. — Widmo średniowiecza, przez Antoniego Szecha. — Inspektorki fabryczne, (Dok.) przez R. Centnerszwerową. — W sprawie naszego wychowania politycznego, przez Józefa Lange. — NA DOBIE: Pan Suligowski dziękuje. — „Utopja w rozwoju historycznym", przez i. p. — Polski Kongres Pedagogiczny we Lwowie, przez I. K. — BADANIA NAUKOWE: Polityka społeczna wobec niezawinionego bezrobocia, przez D-r. Z. Daszyńską Golińską. — LITERATURA i SZTUKA: Edmund Zechenter: Z chłopskiej niwy, przez Stefana Gackiego — Album artystyczne „Świata", przez St. G. — z Zachęty: Narodowość w Sztuce, przez Wincentego Trojanowskiego. — Z muzyki, przez Antoniego Millera. — Przegląd polityki zagranicznej. — Kronika. — OGŁOSZENIA.



Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Roman Nowakowski.**

Druk K. Kowalewskiego, Warszawa, Mazowiecka 8.